

JIM POKER = Julian GINSBERT

ZDZICH SZUKA OJCA

POWIEŚĆ MORSKA DLA MŁODZIEŻY







NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA



Rysunki i okładka F. Ciechomskiego



Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy-Świat 54

1 9 3 4

I. ZBIEG Z TAMTEJ STRONY.

Tsz! Czcz!...

Krótki, bo tylko z lokomotywy i trzech wagonów złożony pociąg zajechał przed biały, czerwonym dachem nakryty budynek dworca i stanął posłusznie przed peronem, sapiąc i wyrzucając w górę białe wykrzykniki pary.

Tsz! Czcz! Tsz! Czcz!

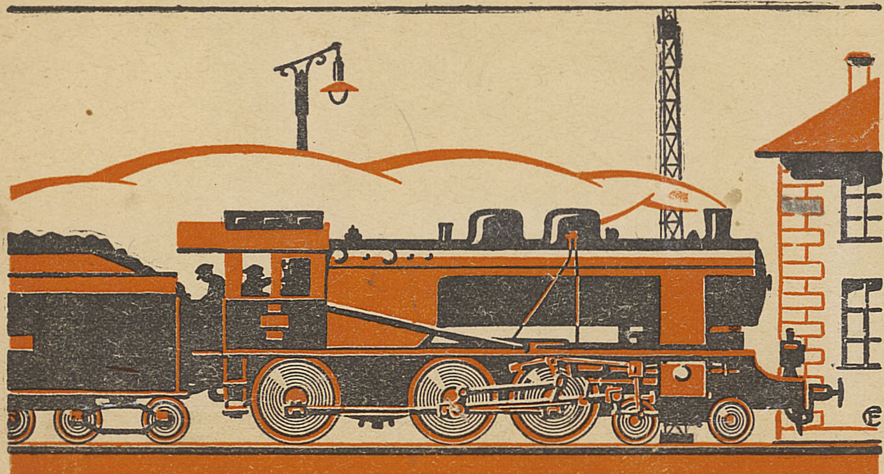
— Stołbce! — zawołał konduktor. — Wysiadać do rewizji!

Tylko kilka osób wysiadło z pociągu, co przyszedł od strony Mińska — miasta dawniej polskiego, a leżącego dziś po stronie Rosji Sowieckiej. Do pustych wagonów podeszli polscy kolejarze, aby, jak zwykle, sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Właśnie taki nieco usmolony kolejarz, w granatowej czapce ze srebrnym orzełkiem, nachylił się nad kołami ostatniego wagonu i począł stukać w nie młotkiem, kiedy naraz wydał okrzyk zdziwienia.

Pod wagonem na łańcuchach leżał jakiś mały kłębek. A z kłębka tego patrzyła ku kolejarzowi para wystraszonych oczu.

— Czary, czy co u licha? — pomyślał kolejarz. Ale, że



— Stołbce! Wysiadać do rewizji!

był chłop odważny, więc schylił się bardziej jeszcze i sięgnął ręką po ów kłębek.

A ten wydał właśnie cienki pisk, jakby kto kurę przydusił, poczem nagle zsunął się na ziemię, wypełzł z pod wagonu i przed zdziwionym kolejarzem stanął mały chłopiec, tak brudny i umorusany, że raczej do zwierzątka jakiegoś, niż do człowieka podobny. Skulił się też zaraz zpowrotem, trochę wystraszony, czy mu jakiej krzywdy nie zrobią, a trochę zawstydzony swoim wyglądem.

Kolejarz spojrzał podejrzliwie:

— Znowu jakieś licho od bolszewików przyniosło! Coś ty za jeden, smoluchu?

A na to chłopiec, usłyszawszy dźwięk polskiej mowy, jak nie skoczy do kolejarza, jak się nie przytuli, ocierając swoje łachmany o jego buty, jak nie zawoła:

— Panie! To ja już w Polsce! To Bóg mnie wyratował! Tylko już tam do nich nie odsyłajcie!

— Hm — mruknął kolejarz. — Kto cię tam wie, kto ty jesteś? Nie takich tu nasyłali, co potem tylko złodziejami czy szpiegami byli. Jak ci na imię?

— Zdzich. U nich mówili Zulja. Tak jakoś po ichniemu. Ale ja uciekłem.

— No, chodź, chłopcze, ze mną na posterunek. Tam już poznają się, coś ty za jeden.

*

* *

Zdzich idzie posłusznie za kolejarzem, rozglądając się wokoło. Od chwili kiedy wie, że jest w Polsce, nic już się nie boi. To przecież niemożliwe, żeby tu byli źli ludzie, bo przecież swoi.

Na posterunku policyjnym przodownik, w granatowym płaszczu ze srebrnym lampasem na kołnierzu, spojrzał ku wchodzącym:

— A cóż to za kominiarczyka prowadzicie, panie Kutrzeba? — spytał.

— Nie kominiarczyk to, tylko chłopak, co pod wagonem z Rosji przyjechał, panie przodowniku. Z oczu patrzy mu dobrze, ale djabeł go tam wie. Różni już bywali.

Więc pan przodownik zaraz się nastroszył, minę zrobił surową i pyta:

— Jak się nazywasz?

— Zdzich Krzywicki, proszę pana — mówi chłopiec grzecznie, ale śmiało.

— Ile masz lat?

— Dziesięć, panie przodowniku.

— Skądeś się tu wziął?

Zdzich nabiera powietrza w piersi i zaczyna opowiadać swą smutną historję. A gdy opowiada, zdaje mu się, że wi-

dzi raz jeszcze wszystko to, co było, i aż malutkie łezki zaczynają kręcić mu się w oczach. Przodownik i kolejarz słuchają ciekawie.

— Byłem jeszcze malutki — opowiada Zdzich — kiedy tatuś i mamusia wyjechali z Warszawy nad morze. Mieli tam coś wielkiego budować, już nie pamiętam dobrze co. Tatuś mówił, że port taki, gdzie okręty do Polski przychodzić będą. Tatuś to był inżynier i miał w tej Gdyni budować jakieś domy czy fabryki. Ale robota szła powoli i wszyscy, co tam byli, to mówili, że Polska tego portu i tych domów, i fabryk, to nigdy nie zbuduje. Toby trzeba było, żeby port budowali Anglicy albo Francuzi, bo oni na rzeczach morskich się znają. A Polacy to nic nie umieją. Więc tatuś trochę się zniechęcił, a i mamusia bardzo się martwiła, że to niema gdzie mieszkać i życie drogie, i o robotę trudno.

Aż tu jednego dnia przyszedł do tatusia taki pan z czarną brodą, w okularach i coś bardzo długo rozmawiał. Ja nie wiedziałem co, bo mamusia zawsze mi mówiła, że podsłuchiwać to nieładnie. Ale słyszałem przez drzwi, że mówili, a ja nic prawie zrozumieć nie mogłem. Dopiero potem mamusia powiedziała, że ten pan to jest z Rosji i mówi po rosyjsku.

Więc przychodził ten pan kilka razy, a po jego wyjściu tatuś zawsze coś długo rozmawiał z mamusią. I mamusia miała potem czerwone oczy, a tatuś zły był bardzo. A ten czarny z brodą przychodził coraz częściej i miał coraz weselszą minę i raz nawet przyniósł mi cukierków, ale ja ich jeść nie chciałem, bo mu źle z oczu patrzyło.

I dopiero potem okazało się, że ten czarny to namawiał tatusia, żeby całą tę robotę w Gdyni rzucił, bo z tego nic nie będzie i tu z głodu umrze. A zato, żeby tatuś z nim pojechał do Rosji, gdzie teraz roboty dla mądrych i uczonych



Budowano tam port.

ludzi bardzo dużo, i płacą dobrze, i życie tanie. To tatuś długo nie chciał i mamusia też nie. Ale wkońcu się zdecydowali. Tak już tamten ich namówił. A ja, choć nie chciałem jechać i bardzo płakałem, to przecież na mnie nikt nie zważał, bo byłem jeszcze malutki. No i tatuś powiedział, że dzieci i ryby nie mają głosu.

— A ileś ty miał lat wtedy, chłopcze? — pyta przodownik.

— Pięć lat miałem, proszę pana. I sam dobrze wszystkiego nie pamiętam. Ale potem, jak były złe czasy, takie złe naprawdę, tośmy z mamusią Gdynię wspominali. I dlatego wiem.

Więc pojechaliśmy wszyscy do Rosji i tatuś dostał zaraz posadę inżyniera w takiej wielkiej fabryce, gdzie robią różne lekarstwa. Miał tam budować nowy pawilon. A w tym pa-

wilonie to miała być fabryka gazów, takich co to na wojnie trują niemi żołnierzy. Więc tatuś się zbuntował i chciał wracać do Polski.

Dopiero tamci mówią, że nie można, że umowa jest na pięć lat. Tatuś zaczął chodzić do polskiego konsulatu, radzić się. Mamusia płakała i co kto zadzwonił, to aż drżała ze strachu. Którejś nocy przyszło ich czterech w takich płaszczach z rewolwerami. Przewrócili całe mieszkanie do góry nogami. Tatusia zabrali do więzienia, choć mamusia strasznie płakała i prosiła ich. Zabrali też wszystkie papiery.

A potem to tatuś musiał dalej budować tę fabrykę, ale już z musu. Bez żadnych pieniędzy, bo oni już nic nie płacili.

Zbudował im tatuś przez dwa lata za darmo i ten pawilon i jeszcze dwa inne, bo się bał, żeby mamusi i mnie krzywdy jakiej nie zrobili. Ale i tak bieda była wielka, bośmy na tydzień dostawali za kartkami trzy bochenki chleba, dwa funty mięsa, worek ziemniaków i szczyptę herbaty. Cukru ani soli nie dawali.

Mamusia co miała, to posprzedawała handlarzom, żeby się trochę ratować. I zaraz zachorowała bardzo ciężko. Doktór, co przyszedł, mówił, że to tyfus. Zabrali gdzieś mamusię do szpitala i więcej jej nie widziałem.

Tatuś był wtedy bardzo mizerny i bardzo smutny. Raz, pamiętam, przytulił mnie bardzo mocno, wycałował i rozpłakał się. A ja się zdziwiłem, że taki duży mężczyzna płacze. Przecież dotąd, jak mamusia płakała, to tatuś zawsze mówił, że jest beksa i że płakać to babska rzecz.

Więc i ja popłakałem się trochę, a tatuś powiedział:

— Synku mój drogi! Mały jeszcze jesteś, ale musisz się starać być takim, jak dorosły mężczyzna. Ta budowa skoń-

czona i wysyłają mnie na nową, bardzo daleko. Mama chora w szpitalu. Musisz tu zostać i opiekować się nią, pilnować jej. Kto to zrobi, jeśli nie ty, Zdzichu? Niech ci Pan Bóg dopomoże. Dowidzenia.

I tatuś poszedł, a ja zostałem sam.

*

* *

Było mi trochę straszno, bo w tym domku, gdzieśmy mieszkali, to żyła tylko stara Katierina — niby to stróżka czy kucharka. Ona się mną miała zaopiekować, ale to była pijaczka i zła kobieta. Zupełnie tak jak i ta Baba Jaga z bajki. Dokuczała mi bardzo i zaraz jak tylko tatuś odjechał, zaczęła bić.

Więc ja uciekłem i zacząłem szukać tego szpitala, gdzie mamusia. Inne dzieci, a czasem i dorośli dali mi trochę jeść. Ale mamusi nie znalazłem, bo podobno wywieźli ją gdzieś daleko. A potem złapali mnie i powiedzieli, że jestem brodiaga, to niby włóczęga, i zabrali do takiej ich szkoły. W szkole tej było mi bardzo smutno, bo wszystko obce. Był tam jeszcze drugi chłopczyk polski — Staś Michalski — tośmy się razem trzymali.

Ale ja ciągle chciałem szukać mamusi, więc znów uciekłem. Z włóczęgami dostałem się do takiego miasta, co nazywało się Mińsk, aż już niedaleko było od granicy polskiej. To dopiero przyszło mi do głowy, że gdybym tak uciekł do Polski, to tamby mi pomogli odszukać tatusia i mamusię.

Więc zacząłem chodzić codziennie na kolej i szukać okazji. Sprzedawałem wtedy gazety, więc to było łatwo. Ale pilnowali dobrze. Raz już wlazłem pod wagon, to mnie wyciągnęli i dali takie baty, że no... Tu Zdzich spojrzał się po obecnych pół wesoło, pół smutno i tak jakoś niechcący po-

tarł siedzenie. Potem byli lepsi, dawali sprzedawać gazety, karmili czasem. Latem sypiałem w towarowych wagonach na dworcu, a zimą, gdzie przytulili.

Ale wciąż pamiętałem, że muszę odszukać rodziców. Więc znów szukałem okazji. I właśnie dziś rano się trafiła. Deszcz padał, sołdaty były śpiące, konduktor nie uważał. Więc wlazłem pod wagon pociągu, co odchodzi do Polski.

Z początku było dobrze, ale jak pociąg ruszył, zrobiło mi się straszno. Chciałem już krzyczeć o ratunek, bo bałem się, że spadnę. Ale i takby mnie nikt nie usłyszał.

Okropnie tam pod wagonem. I huczy tak strasznie, i takie iskry lecą, i te kamienie na szynach, to już nie są kamienie, tylko takie szare pasemka, od których mąci się w głowie. Już myślałem, że chyba umrę, kiedy nagle pociąg zwolnił i stanął. Wtedy poprawiłem się jako-tako i przywiązałem paskiem do jakiejś sztaby.

Długobym tak nie wytrzymał. Dobrze, że pociąg jechał wolno i często stawał. A jak stanął tutaj, to bałem się wyjść.

— Nie słyszałeś wołania, że to Stołbce — granica polska?

— Nie, proszę pana. Bom od tego huku pod wagonem zupełnie ogłuchł.

— A co ty myślisz teraz robić?

— Teraz to ja muszę zarobić trochę pieniędzy i pojechać szukać mamusi i tatusia. I postarać się ich zabrać stamtąd do Polski.

— A jak ich nie puszczą?

Zdzich na chwilę robi się smutny. Rzeczywiście. O tem wcale nie pomyślał. Jak rodziców nie puszczą? Ale wnet chłopiec podnosi oczy i hardo wstrząsa czupryną.

— Niech spróbują nie puścić! Przecież mi kto pomoże, to ich stamtąd wykradniemy i już!

— Zuch chłopak — myśli pan przodownik. Ale nie mówi tego, tylko dalej pyta surowo: — A masz ty tu jakich krewnych, rodzinę, czy co?...

— Dawniej to miałem. Ale już nie pamiętam, bo kiedy wyjechaliśmy, byłem malutki. Była babcia, mamusia o niej często wspominała. I ciotka Krysia. I wuj...

— A gdzie mieszkają?

— Czy ja mogę wiedzieć? Mieszkali w Warszawie, tak jak my pewno. A teraz nie wiem.

Pan przodownik trochę myśli, a potem zwraca się do kolejarza i mówi półgłosem:

— Widzi mi się, że ten chłopak mówi prawdę. Nie wygląda na bolszewickiego włóczęgę. Możebyś się pan nim zaopiekował, a ja tymczesem wyszlę raport do Warszawy. Niech szukają krewnych Zdzisława Krzywickiego.

— Dobrze — powiada kolejarz. — Chodź, synku, ze mną. Bo pewno i głodny jesteś i bardzo zmęczony.

Zdzich teraz dopiero czuje, że nogi uginają się pod nim. Przedtem był przejęty tem, co się stało i podniecony. A teraz, kiedy jest już na polskiej ziemi, między swoimi, kiedy wie, że mu się żadna krzywda nie stanie, słabnie naraz.

Kolejarz ma wiele trudu z doprowadzeniem go do swego mieszkania, bo Zdzich słania się i omal nie zasypia w drodze.

— A co to za przybłędę prowadzisz? — pyta dość gniewnie pani Kutrzebina. — Jeszcze co ukradnie.

— Nie bój się, matko. To chłopak nasz, polski, co z Bolszewji uciekł. Ojca i matkę mu odebrali i gdziesić zesłali.

Dobrze mu z oczy patrzy, to też w policji kazali mi go przytulić, póki mu rodziny nie znajdą.

— A, jeśli tak, to co innego — mówi żona. — Chodź-że tu, synku, i obmyj się. Łachy te też zdejm, bo pewnie w nich robactwo siedzi. Gdzieżeś ty się tak usmolił nieludzko?

— Pod wagonem przyjechałem, proszę pani.

— Chryste Panie! Chodź-że do kuchni, obmyjesz się w gorącej wodzie. Balję nastawię. Potem wyszukam ci jakiś przyodziewek. A tymczasem napij się herbaty krzynę. Jak będziesz czysty, dostaniesz kolację.

W godzinę potem Zdzich, już wymyty, ubrany w czystą koszulkę i majteczki (pani Kutrzebina dała mu ubranko swego syna, co był trochę starszy od Zdzicha), siedzi przy stole z rodziną kolejarza. Wprawdzie ubranko trochę za małe, bo Zdzich to wielkolud, a Bolek kolejarza, choć starszy, to mniejszy — aleć zawsze przyjemnie być czysto ubranym.

— Jak zarobię, to kupię sobie nowe ubranie — myśli chłopiec, — a to oddam Bolkowi.

Ale mimo, iż cała rodzina Kutrzebów przejęta jest małym gościem, a dzieci: Bolek i młodsza o rok Stacha, są zasłuchani i zapatrzeni w Zdzicha, że nic nie jedzą, to jednak bohaterowi naszemu chce się okrutnie spać. Raz i drugi płowe loki, co to je Kutrzebina umyła i własnym grzebieniem rozczesała, zaglądają do talerza. Raz i drugi zamykają się powieki, a główka chyli to na jedno, to na drugie ramię.

— Chodź spać, chłopcze — mówi Kutrzeba. — Widzę, że ci się oczy kleją.

Za chwilę Zdzich już przeciąga się na kanapce w jadalni, gdzie mu gospodyni posłała. Jest mu dobrze, tak dobrze, że aż nie wiedzieć czego, płakać się chce. Już dawno tak do-

brze nie było. Przecież ten kolejarz i jego żona i te dzieci, to obcy, a jednak jacyś tacy bliscy, i dobrzy i kochani. Jak rodzony ojciec i matka. Czy wszyscy ludzie w Polsce tacy dobrzy?

Ojciec i matka! Gdzie ich odnaleźć? Teraz właśnie, kiedy Zdzichowi dobrze, myśli tem bardziej o rodzicach. Musi ich odnaleźć, wyratować! Musi! musi! Od tego jest chłopcem.Przecież dwa lata temu, przy rozstaniu, ojciec powiedział mu, że jest już mężczyzną. Co dopiero teraz?

Dobrze, strasznie dobrze jest Zdzichowi, ciepło, przytulnie. Tylko tęsknota za tatusiem i mamusią właśnie dlaczegoś większa, jeszcze większa! I naraz chłopiec zaczyna płakać.

Pani Kutrzebina, co właśnie sprzątała ze stołu, słysząc cichutkie łkanie, rozgląda się i widzi, że łzy jak groch płyną po Zdzichowej poduszce.

— Ejże, ty synku, czego płaczesz? — mówi. — Takiś zuch, tyleś wytrzymał, takeś się dzielnie spisał, a naraz beksa z ciebie.

— To... z ra... dości... że mi... tak do... brze — pochlipuje Zdziś. — Tak dobrze, jak już dawno... daw... no nie by... wało. Chyba jak by... łem ma... leńki. Ale też mi tęsk... no za ma... mą i ta... tusiem.

— Nie martw się, synku. Znajdziemy tatusia i mamusię. Znajdą się ludzie, co ci szukać pomogą. My to jesteśmy prawie biedni. Niewiele możemy. Ale tu w Polsce jest porządek i prawo takie, żeby jeden drugiemu pomagał. Więc i tobie pomogą. Bóg ci pomoże, boś chłopiec poczciwy, a ludzie też pomogą, bo taka będzie wola boska.

— A ja nawet paciorka nie zmówiłem — zrywa się nagle Zdzich. I prędko otarłszy łzy zaczyna:

— Kto się w opiekę...

Ale oczy mu się kleją, więc tylko dodaje:

— Dziękuję Ci, Panie Boże, żeś mnie do Polski szczęśliwie przyprowadził. I pozwól mi odszukać rodziców...

Poczem pada na poduszkę, i za chwilę śpi już jak karpacki susełek.

II. DROGA NAD MORZE.

Tyk-tyk, tyk-tyk, tyk-y-tyk, stukają koła wagonu, a Zdzich, przylepiony noskiem do szyby okiennej, przygląda się ciekawie wszystkiemu.

Mijają w pędzie domki drożników; stacyjki schludne, białe z czerwonemi dachami; miasteczka i wsie, z pośród których wyglądają wieże kościołów i wysokie kominy fabryczne. Pociąg leci, jakby mu śpieszno było odwieźć Zdzicha do ciotki.

Bo Zdzich po tygodniu pobytu u dobrego kolejarza dostał depeszę z Gdyni, a potem list i pieniądze. Pieniędzy było bardzo dużo: coś ze sto złotych. Z tego ciotka Krysia przeznaczyła połowę na zwrot kosztów mieszkania i wyżywienia, a resztę na podróż.

Ale pan Kutrzeba nie chciał tych pieniędzy, mówiąc, że to święty obowiązek każdego człowieka przygarnąć opuszczone dziecko. I że, co nie daj Boże, jego Bolkowi czy Staszce miałoby się coś podobnego przytrafić, to i imby chyba dobrzy ludzie pomogli. Więc Zdzich (że to chłopiec był już nad wiek rozwinięty) poleciał na bazar i tam wytargował dla pani Kutrzebiny piękną, wzorzystą chustę, dla Bolka nakręcaną lokomotywę, a dla Staszki małą laleczkę. Z tą ostatnią było nawet trochę kłopotu, bo, wiadomo, chłopiec się na

lalkach nie znał, boć to babska rzecz. Wybrał wkońcu jakąś krakowiankę, ale Stacha jak spojrzy na nią, jak nie wybuchnie srebrnym śmiechem. Aż się Zdzich rozgniewał. A Staszka na to:

— Cóżeś ty mi za czupiradło przyniósł. Ja jestem duża panna i lalkami się nie bawię.

Potem cała rodzina Kutrzebów odprowadziła Zdzicha na pociąg. Kolejarz sam kupił bilet i wprowadził chłopca do wagonu. Zdzich aż oniemiał z podziwu, kiedy zobaczył czyściutki, błyszczący od lakieru, wagon Polskich Kolei Państwowych. A zdziwił się jeszcze więcej, kiedy mu Kutrzeba powiedział, że to wagon trzeciej klasy, a wagony drugiej i pierwszej są jeszcze ładniejsze. Że wszystkie te wagony wyrabiane są w Polsce przez polskich inżynierów i robotników, że mają elektryczne oświetlenie, które prawie nic nie kosztuje, bo wagon, jadąc, sam wytwarza potrzebny dla światła prąd. Że wagony te są całe z żelaza, co w razie wypadku chroni podróżujących od zgniecenia, i że w Polsce pociągi chodzą teraz bardzo prędko. Za osiem godzin będzie w Warszawie. A za szesnaście w Gdyni.

Potem naczelnik w czerwonej czapce podniósł w górę chorągiewkę i pociąg cichutko ruszył. Zdzich przyzwyczajony do dzwonków, gwizdów i hałasów ani się obejrzał, jak peron dworca począł się leciutko przesuwać w przeciwną stronę. Potem przesunął się budynek i zanim chłopiec pojął, że już jedzie, Kutrzebowie byli daleko i tylko Staszka czerwoną chusteczką machała za pociągiem.

— Dowidzenia! wrzasnął Zdzich, ile tylko miał sił. Dowidzenia! Dziękuję!

Odpowiedziała mu chórem cała rodzina. Najgłośniej piszczała Staszka, powiewając wciąż chusteczką. Ale pociąg



Mijają rzeki, lasy, miasta.

nabrał rozpędu, zastukał po zwrotnicach, chlasnął o długi rząd towarowych wagonów,... i naraz stacja zniknęła z oczu Zdzicha.

— Nie wychylaj się, chłopcze, z okna! — mówił jakiś starszy pan. —Jeszcze ci głowę urwie.

Zdzich posłusznie chowa główkę, w którą już wiatr począł bić nie na żarty. Poczem wciska się w kąt wagonu i ciekawie spogląda przez okno.

Pociąg biegnie szybko, zatrzymuje się bardzo rzadko. Mijają w pędzie słupy telegraficzne, rozciągnięte druty kłaniają się Zdzichowi. Mijają rzeki, lasy, miasta. Oto Bara-

nowicze, o których coś tam Zdzich słyszał, że były tu wielkie walki za czasów światowej wojny. Ale pociąg stoi tylko dwie minuty, więc Zdzich nie ma czasu nawet się rozejrzeć.

*

* *

Zdzich jest troszkę zmęczony. Monotonny pomruk kół usypia go. Budzi się w Białymstoku, bo tu ruch ogromny. Kilkunastu chłopców pcha się do wagonu. Na peronie widać całe bele sukna, płótna, różnych towarów. Harmider okrutny. Ruch taki, jakiego Zdzich już dawno nie widział.

— Czy to wielkie miasto ten Białystok? — pyta siedzącego obok pana.

— Niebardzo, dwanaście razy mniejsze od Warszawy. Ale tu bardzo wiele jest różnych fabryk, głównie tkalni i przędzalni. Stąd idą materjały na ubrania do całej wschodniej Polski.

Pociąg stał tylko osiem minut, więc też niebawem Białystok i jego harmider pozostają wdali, Zdzichowi się teraz troszeczkę chce jeść, więc zagląda do zawiniątka, co mu je dali Kutrzebowie na drogę. Ale ów pan powiada:

— Zostaw sobie na potem to jedzenie, chłopcze, bo wieczorem może będziesz głodny. A tymczasem chodź ze mną do restauracyjnego wagonu na obiad.

Zdzich wie dobrze, że należy być grzecznym dla wszystkich, ale też nie trzeba zbytnio ufać obcym ludziom, a tembardziej przyjmować od nich cokolwiek. Mówi więc grzecznie, ale stanowczo:

— Dziękuję panu. Pożywię się tem, co mam.

Ale ciekawość go gnębi. Pan poszedł właśnie do tego restauracyjnego wagonu. Jakby to zobaczyć, co się tam robi? Zdzich jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział.

Więc bardzo grzecznie zatrzymuje przechodzącego konduktora i mówi:

— Panie konduktorze, czy można popatrzeć na ten wagon re... restau... no ten wagon, gdzie jedzą?

— Wagon restauracyjny — uśmiecha się konduktor. — Chodź chłopcze, to ci pokażę.

I prowadzi Zdzicha przez długi rząd wagonów.

Idzie Zdzich za konduktorem i aż usta otwiera z podziwu. Bo oto między wagonami są takie wielkie harmonijki, że z jednego do drugiego można przejść swobodnie i bez obawy, że się spadnie na szyny. Przechodzi się taką harmonijką jak korytarzykiem i ani się człowiek spostrzeże, jak już jest w drugim wagonie.

Konduktor i Zdzich mijają w ten sposób, idąc korytarzami, dwa wagony pierwszej i drugiej klasy. Jakie tam wspaniałości: dywany, lustra, obicia, obrazki. A wszystko aż lśni i błyszczy. Wreszcie jeszcze jedna harmonijka i Zdzich aż przysiada z radości. Naprzeciw niego szczerzy zęby mały murzynek w białym fartuchu i czapce.

— Czego się tu włóczysz , smyku! — ofukuje go konduktor.

Okazuje się, że murzynek, to wcale nie murzynek, tylko kuchcik, który z gorącej kuchni wyszedł na chwilę na korytarz. Chłopak znika prędko w małych drzwiczkach. Przez uchylone te drzwiczki Zdzich spostrzega tęgiego, wysokiego, biało ubranego kucharza, który smaży coć na patelni. Musi to być coś dobrego, bo miły zapach aż łaskocze gardło.

Teraz konduktor uchyla drzwi szklane, wiodące do środka wagonu i przez chwilę Zdzich widzi długą, dwoma rzędami stolików zastawioną salę, z szerokiem przejściem po-

środku. Pasażerowie siedzą pod oknami przy stolikach, jedzą i piją. W przejściu uwija się pan w zielonym mundurze ze złotemi galonami. Zdzich z początku myśli, że to oficer. Dopiero, kiedy pan ten stawia na stole tacę z potrawami, Zdzich domyśla się, że to musi być kelner.

A ten tymczasem zwraca się do Zdzicha z zapytaniem:

— Czego szukasz, chłopczyku?

— Chciałem tylko zobaczyć, jak taki wagon wygląda? — mówi Zdzich grzecznie, ale śmiało. — Przepraszam...

— A daj pan tam co zjeść dzieciakowi — odzywa się konduktor do pana w zielonym mundurze. — Uciekł przecież z Rosji. A teraz szuka rodziców — dodaje, bo mu przed wyjazdem ze Stołbców Kutrzeba wszystko opowiedział.

Wnet też sadzają Zdzicha za takim stolikiem, nakrytym czystym białym obrusem, a przed nim stawiają filiżankę kakao i kawałek babki. A choć chłopiec już zapomniał, jak to smakuje kakao, to jednak najwięcej bawi go, że to taka jadalnia na kółkach pędzi i pędzi, a tu można sobie spokojnie siedzieć przy oknie i jeść.

Ot i teraz. Pociąg w biegu mija jakąś stację. Sssiach! — przelatuje budynek stacyjny i Zdzich ledwo ma czas dostrzec granatową postać zawiadowcy w czerwonej czapce i jakiegoś chłopca, uwijającego się po peronie. Zdzich ogląda się za chłopcem, a jednocześnie kładzie do ust kawałek babki. Tamten chłopiec też pewnie z ciekawością patrzy na Zdzicha. Ale tylko jedną malutką chwilkę.

Bo oto stacyjka zostaje wdali, a zato ukazują się trzy piękne krowy, pasące się spokojnie w kolejowym rowie, jakby je nic a nic nie obchodził pędzący kurjer. A potem z oddali nadbiega las i staje szpalerem po obu stronach toru.

Jeszcze jeden postój w Małkini. Parowóz chciwie pije

wodę, żeby nabrać sił do ostatniego biegu. Bo stąd już bez zatrzymania popędzi do samej Warszawy.

Ściemnia się dobrze, kiedy woddali ukazuje się jakaś szara masa. Ni to dymy, ni góry, ni budynki. Tu i owdzie poczynają błyskać światła. Jest ich coraz więcej. Z okien mało-co widać, bo szyny nagle rozbiegają się i na sąsiednich torach stoją długie rzędy towarowych wagonów, między któremi kurjer przelatuje z hukiem. Wreszcie cały pociąg wjeżdża na długi i bardzo wysoki most, Zdzich widzi wiele, wiele latarni, odbijających się w płynącej pod tym mostem rzece.

— To Wisła. Zaraz będziemy w Warszawie — mówią podróżni.

Zdzich przygląda się Wiśle, mało oczu nie wypatrzy. Przecież to Polska rzeka największa. Do niej to rzuciła się kiedyś, strasznie, strasznie dawno, piękna królewna Wanda, co za niemieckiego księcia wyjść nie chciała. Po niej to płyną berlinki z węglem i tratwy drzewne do Gdańska. Nad tą Wisłą leżą przecież obie stolice Polski: stara — Kraków i teraźniejsza — Warszawa. To ta Wisła bogactwa polskiego kraju do morza spławia.

Ale Wisła dziś nie jest wcale szara, tylko jakaś granatowa i błyskotliwa, bo odbija się w niej księżyc i tysiączne światła lamp i latarń wielkiego miasta. Zresztą most się kończy , pociąg zwalnia i zatrzymuje się na wielkim dworcu kolejowym. Warszawa!

Ten sam dobry konduktor bierze Zdzicha za rękę i prowadzi między szynami na inny peron. Dobrze, że go prowadzi, bo Zdzich, choć duży chłopiec, nie mógłby się tu pomiarkować. Tyle tu ludzi, maszyn, wagonów, taki gwałt i ruch okropny! Przecież przed chwilą chłopiec omal nie wpadł pod

jakiś dziwny wózek, jadący po peronie z głośnem dzwonieniem, a ciągnący za sobą trzy inne.

— To elektryczny traktor, co ciągnie wózki z pocztą — objaśnił go konduktor.

Pociąg do Gdyni stał na drugim torze, sapiąc już ciężko. Przez oświetlone okna Zdzich dojrzał, jak podróżni w pierwszej i drugiej klasie podnosili ławki, aby położyć się do spania: jeden na dole, drugi na górze. Konduktor polecił prędko chłopca swemu koledze, a sam poklepał go po ramieniu, mówiąc:

— Miał rację Kutrzeba, żeś zuch chłopak. Życzę ci, żebyś prędko mógł odnaleźć rodziców.

*
* *

Jak tylko pociąg ruszył z Warszawy, Zdzich, zmęczony podróżą, zasnął twardo i spał całe siedem godzin, Gdy się zbudził, dzień już był wielki i pociąg biegł dolinką między zielonemi wzgórzami. Ranne słońce świeciło wesoło.

Zdzich przetarł oczy i spytał siedzącego obok pasażera:

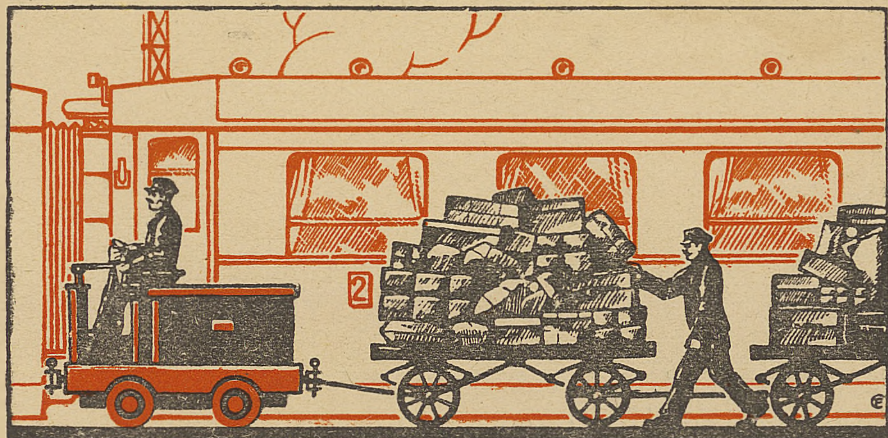
— Czy daleko jeszcze do Gdyni, proszę pana?

— A nie — odparł tamten jakimś dziwnym językiem. — Rychtyg za ćwierć godziny będziemy jeden z drugim.

— A Gdańsk już minęliśmy?

— Jo — odpowiedział tamten i zapalił fajkę, taką jakąś wielką, z porcelanowym cybuchem.

Tymczasem Zdzich pobiegł prędko do umywalni, żeby zrobić się czystym i ładnym. Po całym dniu i nocy, spędzonej w wagonie, był bardzo brudny. A być brudnym, to rzecz i nieładna i niezdrowa. Coby ciotka Krysia powiedziała, jeśliby z wagonu wysiadł taki smoluch, jak wtedy w Stołb-



...Jakiś dziwny wózek.

cach? Tylko, że tam, to był mus, ucieczka, a tu, zupełnie co innego.

Więc też Zdzich, spuściwszy koszulkę, szoruje, ile wlezie szyję, ręce, twarz i piersi. W umywalni jest bardzo zabawna szklana kula, napełniona płynnem mydłem. Jak się ją nachyli, to mydło samo kapie na ręce, a potem wystarczy polać wodą, żeby się rozmydliło. Zdzich z początku nie wiedział, jak to robić, ale taka starsza kobieta w białym fartuchu, co sprząta wagon, pokazała mu, a nawet dała czysty ręczniczek.

— Jak to teraz będzie? — Zdzich, jak daleko może, sięga myślą w dawne czasy. — Przyjedziemy do Gdyni na taką małą stacyjkę, a stamtąd będzie błotnista i wyboista droga do wioski rybackiej. A w tej wsi kilka domków i baraki dla robotników. Pamięta obok domków dużą nadmorską łąkę, na której bawił się z innymi chłopcami, co paśli kozy i owce. Ciekawym, czy ciotka Krysia też mieszka w ba-

raku? I czy ten czarny kupiec mówił wtenczas prawdę, że Polacy nic tu nie zbudują, bo nie potrafią?

Pociąg zwalnia. Zdzich pośpiesznie składa swoje zawiniątko i podchodzi do okna.

— Boże drogi! A to co takiego?

Między torem kolejowym, a błękitną taflą wody, w której Zdzich poznaje dawno niewidziane morze, jak okiem sięgnąć, ciągną się domy, fabryki, wille, pałace, składy. Drugie niby — morze budynków, ponad któremi sterczy las wysokich tyczek. Cóż to za takie drzewa bez liści?

Pociąg podjeżdża bliżej i Zdzich wie już, że to nie żadne drzewa, tylko maszty okrętowe. Teraz już widać wyraźnie i kominy stojących w porcie statków. A tu, na ziemi, ileż torów kolejowych, ileż wagonów, wekslujących w jedną i w drugą stronę!

To chyba cud! Zdzich pamięta dobrze, bo chłopiec jest rozgarnięty. Tu przecież nie było nic. Tylko piaski i łąki. A teraz na tem miejscu, gdzie dawniej Zdzich hasał z kozami, jest woda, a na tej wodzie stoi wielki okręt i dymi z obydwóch kominów. A tam, gdzie były baraki, to wznosi się jakaś wysoka wieża, a obok całe miasto wielkich, kilkupiętrowych kamienic.

Nie, to chyba nie Gdynia i tamten pan omylił się. To pewnie Gdańsk, o którym Zdzich słyszał, że to wielki port i bardzo duże miasto.

Ale nie, bo oto pociąg staje, wprawdzie nie na małej stacyjce, tylko na dużej, pięknej stacji. I konduktor woła:

— Gdynia! Port polski!

Zdzich wita się z ciotką Krysią grzecznie, ale jest bardzo roztargniony i przejęty tem, co zobaczył i co jeszcze widzi. Nie zwraca nawet uwagi na śliczną siedmioletnią



Podjeżdża lokomotywa i węglarki.

dziewczynkę z długiem lokami. Dopiero gdy ciotka mówi: „Zdzichu, przywitaj-że się z twoją kuzynką. Boże, jak to zaraz widać, że to dziecko przyjechało z Rosji!“ — chłopiec na chwilę odrywa oczy od otaczających go cudowności i zwraca je na dziewczynkę.

Ta dyga grzecznie i mówi:

— Ja jestem Lorynka. Dzień dobry.

— A ja Zdzich — potwierdza nasz bohater, ale na tem rozmowa się urywa, bo teraz przejeżdża akurat taka piękna lokomotywa, a za nią cały sznur naładowanych węglem wagonów. I wszystko to w stronę portu.

Nie tu jednak koniec cudów. Przez tunel pod szynami, jakiego Zdzich jeszcze nigdy nie widział nawet w Warszawie, ciotka prowadzi go do obszernej, wysokiej hali dworca, a stamtąd na ulicę. Po chwili siadają wszyscy troje do samochodu i pędzą. Pewnie do baraków.

Ba! Ale baraków ani śladu, tak samo jak tych wybojów, łączek czy błot, które Zdzich tak dobrze pamięta! Samo-

chód mknie po równej, szerokiej i błyszczącej jak szkło ulicy. Po obu jej stronach wielkie domy, banki, sklepy, hotele.

— Ciociu — pyta oszołomiony Zdzich — tego wszystkiego przecież nie było? Kto to tak prędko zrobił?

— Zrobili, mój synu, polscy inżynierowie, polscy rzemieślnicy i robotnicy. Wszystko własnemi siłami. Aleś jeszcze najgłówniejszego nie widział. Jutro pójdziemy do portu, to dopiero zobaczysz. Ale dziś to jesteś pewnie zmęczony, no i chciałabym z tobą porozmawiać.

Zdziś wprawdzie wcale nie czuje się zmęczony i mógłby do portu biec choćby zaraz, ale rozumie, że ciotka chce pewnie porozmawiać o rodzicach, albo ma mu coś ważnego do powiedzenia. Więc tylko wzdycha i rozgląda się po tem wielkiem mieście.

— To chyba cud.

— Tak, synku, prawdziwy cud. Zwiemy go wszyscy „cudem pracy“.

III. CUD PRACY.

Idzie Zdzich za rękę z Lorynką, idzie i dziwi się. Co chwila przystaje i buzię otwiera, aż ciotka Krysia, idąca ztyłu, a zmęczona ciągłem przystawaniem, musi go poganiać:

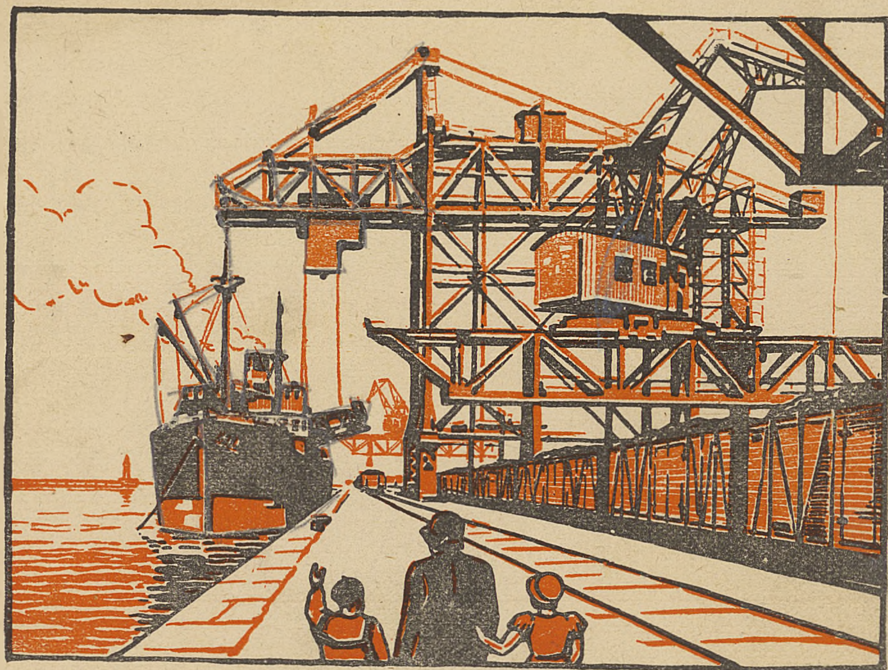
— No, idźcie, dzieci, dalej.

Niewiele brakuje, a Zdzich włożyłby palec w buzię, jak to czasem jeszcze robi Lorynka. Ale mu wstyd, bo jest przecież dużym chłopcem, sam sobie już w niejednej ciężkiej chwili dawał radę i stoi przed nim jeszcze najważniejsze zadanie: odnalezienie tatusia i mamusi.

Więc tylko okrzykami wyraża swój podziw i swoją radość na widok każdego nowego cuda. Jakże to ten czarny skłamał, kiedy opowiadał, że Polacy to nic zbudować nie potrafią!

Bo oto na kamiennem nadbrzeżu stoi takie wielkie, może czteropiętrowe, może wyższe nawet żelazne rusztowanie, a w górze tego rusztowania jest budka, a w budce człowieczek — maleńki, maleńki, kiedy się tak na niego z dołu patrzy.

Podjeżdża lokomotywa i pod to rusztowanie podstawia wielki wagon z węglem. Człowieczek na górze patrzy na to



— To jest wywrotnica elektryczna.

spokojnie, aż naraz naciska jakiś drążek. I oto, cały wagon, podniesiony potężnemi łańcuchami, jedzie w górę razem z kołami, buforami i z węglem.

Mało tego. Dojechawszy na wysokość drugiego piętra, wagon obraca się bokiem i posłuszny rozkazom człowieczka, zaczyna jechać, wciąż w powietrzu, aż nad wodę. A tam stoi wielki parowiec, co polski węgiel wozi do Afryki, gdzie na nim gotują murzyni swoje obiady. Kiedy wagon jest już nad okrętem, człowieczek znów naciska drążek, boczna ściana wagonu otwiera się i cały ładunek sypie do ładowni okrętu.

Rrruuumm, rruumm! — dudni węgiel, uderzając o dno

parowca. A za chwilę pusty wagon jedzie zpowrotem, tą samą drogą aż na szyny, skąd go zabiera parowóz.

— To jest wywrotnica elektryczna — objaśnia Zdzicha Lorynka, która cały port zna napamięć. — Co trzy minuty ładuje taki jeden wagon na okręt, czyli załaduje 20 wagonów na godzinę — mówi dziewczynka dumna, że potrafi to już obliczyć.

— A jeżeli na okręt wchodzi 100 wagonów, to jak długo będą go ładowali? — pyta sprytnie ciotka Krysia.

Lorynka i Zdzich myślą chwilą i prawie razem wołają:

— Pięć godzin!

— Tak. Macie rację, dzieci. Ale naprawdę, to pewno trochę dłużej, bo trafiają się różne przeszkody. W każdym razie są takie dnie, kiedy przechodzi przez ten port dwa tysiące wagonów, z węglem, cementem, cukrem, naftą, solą, jajami, masłem, szynką, zbożem i innemi bogactwami Polski, które wywozimy zagranicę. Wzamian zaś otrzymujemy rudę żelazną, nawozy sztuczne, niektóre maszyny, no i przedewszystkiem dużo pieniędzy... Ale chodźmy już stąd, bo tu straszny kurz od tego węgla. Jeszcze trochę, a będziecie wyglądali jak murzyniątka.

— Ciociu, a gdyby murzyn schował się na węgiel, toby go nie było znać? — pyta Zdzich.

— Pewnie — uśmiecha się ciocia Krysia.

Zdzichowi w tej chwili przychodzi do głowy pewna myśl, ale nie mówi nic, tylko dalej ogląda pilnie inne wywrotnice, żórawie, śmigające w powietrzu pełnemi ładunków skrzyniami, gwiżdżące lokomotywy i wjeżdżające do portu statki.

Oto właśnie wchodzi wielki dwukominowy okręt, cały upstrzony chorągiewkami, rozwieszonemi od dziobu po-

przez maszty aż do rufy. Ciągnie go na linie mały holownik, bo taki wielki okręt w ciasnym kanale portowym, to jak słoń w sklepie z porcelaną: trudno mu się obrócić i choć niechcący może co rozbić. Więc takie małe parowe stateczki, holowniki, ciągną go, obracają i wkońcu dostawiają olbrzyma do nadbrzeża. Padają trapy — takie deski z poręczami, łączące okręt z lądem — i zaczynają wysiadać ludzie. Ci ludzie, jakby wcale niestrudzeni daleką podróżą, śpiewają ochoczo.

— A czego oni tak śpiewają? — pyta Zdzic.

— To Polacy, emigranci, z Ameryki. Wielu z nich lata całe nie widziało polskiej ziemi, bo wyjechali jeszcze zamłodu, kiedy Polska była w niewoli i ludziom bardzo źle tu było. A teraz cieszą się, że do wolnej ojczyzny wracają.

Ale Zdzich już patrzy na co innego. Oto w innym kanale spostrzega parowiec mały wprawdzie, ale cały szaro-błękitny z piękną banderą Białego Orła na tylnym maszcie. Wszystko na okręcie tym świeci i błyszczy od czystości. Kominów ma aż trzy, choć nic a nic nie dymi. Ztyłu zaś i zprzodu sterczą na nim jakieś długie, dziwne drążki.

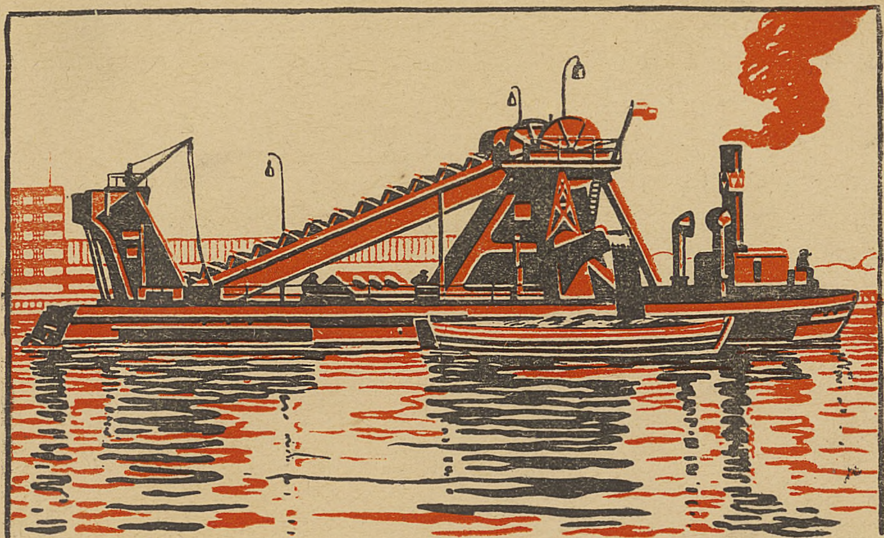
— Co to jest? — pyta Zdzich.

— To okręt wojenny — objaśnia Lorynka. — Nasz kontrtorpedowiec „Wicher“. Tak go nazywają, bo jak wicher może pędzić.

— A te drążki tam?...

— To armaty — odpowiada tym razem ciotka.

Zdzich chciałby bardzo dostać się na pokład „Wichra“ i zobaczyć, jak te armaty zbliska wyglądają. Ale „Wicher“ przepływa szybko i miejsce jego zajmuje wielka draga-kopaczka, kopiąca z dna ziemię w kanale portowym.



Draga - kopaczka.

— A dlaczego ten „Wicher“ nie dymi? — pyta wszystkiego ciekawy Zdzich.

Tym razem nawet Lorynka nie wie. I ciotka jest zakłopotana. Rzeczywiście. Tamte parowce jak płyną, to wyrzucają z kominów takie wielkie kłęby dymu, tymczasem „Wicher“ płynie znacznie szybciej, a dymu ani śladu.

— Bo okręty wojenne teraz, zamiast węglem, opalane są ropą naftową — powiada jakiś stojący obok pan, w granatowem ubraniu ze złotemi guzikami i galonami na rękawach.

— Dziękuję, panie poruczniku — odpowiada zaraz dygając i uśmiechając się Lorynka, dumna z tego, że umie rozpoznawać stopnie oficerskie w marynarce.

Zdzichowi w tej chwili przychodzi coś na myśl. Podchodzi do oficera i mówi grzecznie:

— Panie poruczniku, jabym tak bardzo chciał zobaczyć, jak wygląda wojenny statek.

— Mówi się „wojenny okręt“, synku — odpowiada marynarz. — A no, jeżeli ci pani pozwoli, to przyjdź kiedy do portu wojennego i zapytaj się o porucznika Jankowskiego z kontrtorpedowca „Wicher“ — ot, tego właśnie okrętu, co tam popłynął. To ci pokażę...

— Panie poruczniku, a jak ten „Wicher“ mógł bez pana popłynąć? — dziwi się Lorynka.

— Tam oprócz mnie jest jeszcze dowódca, sześciu oficerów i przeszło stu marynarzy. To jakoś dadzą sobie radę. A ja mam teraz urlop i mogę odprowadzić was do miasta, jeżeli pani pozwoli.

*

* *

Już trzy miesiące bawi Zdzich w Gdyni. Chodzi do szkoły i uczy się pilnie, bo wie, że musi dużo umieć, jeśli chce zostać marynarzem. Zdzich właśnie tak sobie ułożył, że jak odnajdzie tatusia i mamusię, to wstąpi do marynarki. Z początku jako chłopiec okrętowy, a potem zda egzamin do Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej, skąd wychodzą tacy oficerowie, jak pan porucznik Jankowski.

Bo między oficerem a Zdzichem zawarta została wielka przyjaźń. Pan porucznik nietylko pokazał chłopcu okręt wojenny, ale też obiecał coś pomóc w sprawie rodziców.

Ale co się z niemi dzieje? Gdzie są? Ile razy Zdzich zapytywał ciotkę Krysię, czy czego o tatusiu lub mamusi nie wie, ta odpowiadała tylko ciężkiem westchnieniem. Aż wkońcu, gdy wciąż pytał i pytał Lorynki, ta się wreszcie wygadała: że podobno ojciec jest gdzieś w Rosji, na jakiejś wyspie, gdzie strasznie zimno i ponuro, a mama to znów w jed-

nem takiem mieście w szpitalu jest pielęgniarką i tem na życie zarabia. Ciotka, mówiąc to do jednej pani, podobno bardzo płakała i mówiła, że robi się jakieś starania, żeby mamę sprowadzić do Polski, ale co do tatusia, to nie ma mowy, bo tam na tej wyspie jest więzienie... I ciocia nie pozwoliła tego Zdzichowi mówić, bo poco ma się martwić, kiedy i tak nic nie poradzi.

Chłopak, gdy się tego od Lorynki dowiedział, poleciał do porucznika Jankowskiego i opowiedział mu całe zmartwienie. A porucznik obiecał coś pomóc. Więc jak taki oficer polski, co ma na swoje zawołanie okręt i armaty obiecywał, to już napewno z tego musi się coś zrobić!

Akurat tego dnia, kiedy Zdzich przyniósł ze szkoły dobrą cenzurę, pan porucznik zaprowadził go na „Wichra“ i przedstawił komandorowi — dowódcy. Stary komandor dobrotliwie ujął chłopca pod brodę i rzekł:

— Dobrze temu chłopakowi z oczu patrzy, Mógłby z niego być marynarz całą gębą. Ale musisz się, synu, wpierw dużo i pilnie uczyć. Bo my tu leniów, nieuków, łobuzów czy tchórzów nie potrzebujemy. Marynarz to musi być wzór samych cnót rycerskich.

— Ja się postaram, panie komandorze — odpowiedział Zdzich. — Tylko, że jeszcze jestem mały. A mam już bardzo dużo do roboty.

— To nic, synu. Cierpliwością i pracą dużo zrobić można. A nie zapomnij się też nauczyć po angielsku, bo to język w zawodzie marynarskim bardzo potrzebny.

Więc też Zdzich pracuje z zapałem i kiedy wieczorem przychodzi do Lorynki taka chuda miss angielska, z zębami jak u konia, to zaraz przybiega ze swoim kajecikiem. Aż się ciotka dziwi, skąd w chłopcu tyle zapału do pracy, bo

po miesiącu to już przegonił Lorynkę, która przecież brała lekcje od pół roku. A chuda miss aż wywraca oczy ku niebu i mówi:

— Szloto nie chlopak. Ona w jedno dzień więcej zlobić niż druga w trzy piętnaście.

Zdzich śmieje się z polskiej mowy miss, ale angielskiego uczy cię coraz gorliwiej, a i geografji też.

IV. PLAN ZDZICHA.

Aż nadeszła taka niedziela, która w życiu Zdzicha odegrała dużą rolę. Dnia tego, wróciwszy z kościoła, ciotka była czegoś bardzo smutna i kiedy patrzała na chłopca, to jej się łzy w oczach kręciły. Zdzich nie mógł zgadnąć, dlaczego? Grzeczny był przecież cały dzień i uczył się dobrze. Więc też siedział markotny.

Kiedy obiad się skończył, chłopiec udał się do swego pokoju i choć to była niedziela, wziął się do angielskiego. Miał jakieś przeczucie, że prędko język ten mu się przyda. I nie omylił się. Bo tegoż wieczora ciotka, we łzach, powiedziała mu, że wszelkie starania o uwolnienie ojca zawiodły, że mamusię to może uda się do Gdyni sprowadzić, bo zajmie się tem jedna bardzo dobra pani — Amerykanka, ale tatusia puścić z więzienia nie chcą.

— A gdzie to więzienie jest? — spytał Zdzich napozór spokojnie, choć mu się bardzo chciało płakać.

— To bardzo daleko, Zdzisiu. Aż na morzu Białem, gdzie lato trwa tylko dwa miesiące, a resztę czasu panuje zima okrutna.

— Nie można tam pojechać?

— Ale skąd, dziecko drogie! Tam nikt nie jeździ, a choćby pojechał, to go nie puszczą. Pilnują uzbrojone straże i strzelają do każdego, ktoby się do więzienia zbliżył.

Zdzich pomyślał sobie, że możeby go tak zaraz nie

ustrzelili, bo jest przecież mały, a w małego trudniej trafić, niż w dużego. Możeby go i nie zauważyli. Ale nie powiedział nic, tylko się do ciotki mocno przytulił i pocałował ją w rękę. Plan jego był gotów — plan już nie dziecka, ale jakby dorosłego mężczyzny.

Nazajutrz z samego rana poleciał Zdzich na „Wichra". Pan porucznik Jankowski miał służbę, więc chłopiec musiał czekać. Ale że go marynarze znali, więc pozwolono mu swobodnie chodzić po pokładzie. Mógł tedy spokojnie oglądać cztery wielkie, sterczące na pokładzie armaty, sześć rur — wyrzutni do strzelania torpedami, dwa działka maszynowe przeciwlotnicze i cały szereg innych bojowych przyrządów.

— Mój Boże, — myślał sobie Zdzich. — Gdybym tak był dorosłym i jak pan komandor dowódcą takiego okrętu, dopiero to mógłbym zaraz wypłynąć na ratunek tatusia! Ale musiałoby być okrętów takich dużo, bardzo dużo, bo tamci, co tatusia trzymają, też pewno mają okręty i broniliby się! Pan porucznik mówił przecież, że każdy kraj, co chce być szanowany i o swą wolność spokojny, musi mieć dużą flotę.

I chłopiec zamyślił się nad tem, jaktoby dobrze było, żeby on, jako admirał — dowódca takiej floty, popłynął na owo Białe morze ratować tatusia. Napewno byłaby wielka bitwa morska, dużo huku i ognia, a potem wróg byłby pobity i tatuś zostałby uwolniony.

I ani się Zdzich spostrzegł, kiedy stanął przed nim porucznik Jankowski.

— Czego chcesz, chłopcze? — zapytał.

— Panie poruczniku, — Zdzich wyprężył się po wojskowemu — jabym prosił pana porucznika, żeby mi pan pokazał mapę Białego morza.

Porucznik już nieraz pokazywał Zdzichowi różne mapy i przyrządy morskie. Rozkładał taką mapę i opowiadał. A Zdzich słuchał. Podróżowali tak razem „na niby“ po różnych odległych krajach. To też Zdzich nauczył się powoli czytania z mapy, to jest odróżniania na niej gór, rzek, dolin, miast, kolei, lasów. Kiedy mu taką mapę pokazywano, miał przed sobą jak na dłoni obraz danego kraju.

— A poco ci to? — spytał oficer.

— Tatusia tam trzymają w więzieniu — odparł Zdzich.

Pan porucznik nie odrzekł nic, tylko zaprowadził Zdzicha po schodkach na górę, tam gdzie była kabina sternicza. Przeszli obaj przez oszklony balkon, gdzie mieścił się elektryczny ster okrętu i kompas, — to jest taka igła magnetyczna, która nawet na pełnem morzu, gdzie nic nie widać, pokazuje zawsze na północ, i tym sposobem wskazuje żeglarzowi drogę.

Potem porucznik otworzył wąskie drzwi i znaleźli się obaj w małej kabince, całej zasłanej mapami. Po dłuższem szperaniu odnaleźli mapę Białego morza i Zdzich ujrzał wśród wielkiej wody parę białych plam. Były to Sołowieckie wyspy.

— Tak, chłopcze — mówił porucznik, — duży już jesteś, więc mogę ci jak mężczyźnie powiedzieć prawdę. Smutny to kraj, gdzie twego ojca zesłano, smutny i niedostępny. Białe morze tylko przez trzy i pół letnich miesięcy jest wolne od lodów, ale i wtedy trafiają się na niem kry wielkie i lodowce, utrudniające żeglugę. Pływać w tamtejszych mgłach, wirach i wpośród tych lodowców jest bardzo niebezpiecznie i niejeden okręt rozbił się już lub zatonął na tych niegościnnych wodach. Jedynie w czerwcu, lipcu i sierpniu jest tam jaka taka pogoda. Ale i to nigdy nie wia-

domo, co się może zdarzyć. A resztę roku to wichry, zimna, śnieżyce i lodowa pustynia.

— A jak się tam dostać?

— To ciężka sprawa. Po pierwsze od granicy tam nikogo obcego nie puszczają, Ale choćby zdołał się kto przedrzeć, to i tak bardzo trudno.

— A dlaczego?

— Bo tam prawie rok cały zima, a jedyna kolej dochodząca w tych stronach do morza — poddana surowej kontroli. Wędrować piechotą nie można, bo tam tundra, to takie błota bezludne i zdradliwe, zimą pustynia śnieżna. Choćby się nawet do portu Kemi dostać, to jakże na wyspę? Leży przecież trzydzieści mil od brzegu.

— Przecież zimą to morze jest zamarznięte.

— No tak. Ale ktoby się odważył iść trzydzieści mil po lodzie? Wprawdzie są tacy zesłańcy jak twój ojciec, co w ten sposób ucieczki próbują. Bo wolą śmierć wśród lodów i zawiei, niż pobyt w więzieniu. Ale rzadko który z nich dostaje się na ląd. Zresztą z Kemi do granicy fińskiej jeszcze daleko, a zdradliwa tundra czyha na swoje ofiary. Niejeden wędrowiec zginął tam ze zmęczenia i głodu, wśród strasznych zimowych miesięcy, podczas których słońce nie pokazuje się ani razu.

— A morzem się tam nie można dostać?

— To prędzej. Trzebaby pojechać do Norwegji północnej. Stamtąd chodzą często parowce, wiozące rybaków, aż w okolice Białego morza. Kursują też statki kupieckie. Ale z pewnością do wysp Sołowieckich nie zawija żaden.

— A gdyby tak popłynąć „Wichrem“ i zagrozić armatami, i wszystkich uwolnić?

— Nie, synku. Nie mamy prawa. Tam przecież inny kraj. Mogłaby z tego wyniknąć nowa wojna.

Zdzich spuszcza głowę i zamyśla się.

— Zdzichu, — mówi porucznik — czy ty czasem nie masz zamiaru wyrwać tam na te wyspy? Bo, muszę cię ostrzec, że to zadanie ponad twoje siły, a ciotkaby się bardzo zmartwiła, gdybyć tak uciekł z domu.

Zdzich nie odpowiada nic, bo nie lubi kłamać. A zwierzyć się oficerowi też jeszcze nie chce — przed czasem. A nuż porucznik powie cioci? O jej zmartwienie chłopiec wprawdzie tak bardzo nie dba, bo on przecież nie ucieka jak jakiś łobuz czy awanturnik, ale idzie szukać swego tatusia. Więc go może Pan Bóg jakoś rozgrzeszy.

To też za całą odpowiedź chłopiec ściska ile sił rękę porucznika i odchodzi.

*

* *

Zdzich nie wyruszył jednak ani tego, ani następnych dni. Był chłopcem roztropnym i rozważnym, rozumiał więc, że taka wyprawa na łapu — capu udać się nie może.

Najprzód z tym angielskim to wciąż było jeszcze nie w porządku, mimo zachwytów miss z końskiemi zębami. Zdzich próbował już parokrotnie swych sił, rozmawiając w porcie z marynarzami przybyłych z Anglji okrętów, ale jeśli tamci jako tako mogli odgadnąć, co mówi chłopiec, to Zdzich ani w ząb nie rozumiał, co mu odpowiadano.

Po drugie wyruszyć w drogę o żebraczym chlebie nie chciał, własnych pieniędzy nie miał, z wyjątkiem pięciozłotówki srebrnej, którą dostał w prezencie od ciotki, a na zrządzenie losu liczyć nie mógł. Tak czynią tylko ludzie lekkomyślni. Więc postanowił uciułać trochę pieniędzy, a też

i w drodze coś zarobić. Choćby to miało być bardzo ciężko, Zdzich wiedział, że żadna praca nie hańbi, że praca nie jest nieszczęściem, lecz największą radością życia. Bo człowiek, który dobrze pracuje i nic nikomu nie jest winien, jest człowiekiem szczęśliwym.

Po trzecie zbliża się jesień, a Zdzich nie miał jeszcze ciepłego odzienia. Jakże tak wybrać się w jednem ubranku na takie lute mrozy? Na pewnoby nietylko tatusiowi nie pomógł, ale sam z zimna i głodu ducha wyzionął.

Wreszcie trzeba było znaleźć jakąś okazję dostania się do tej Norwegji, o której porucznik Jankowski wspominał, tam pobyć parę miesięcy, zarabiając na życie i wreszcie na jakimś statku rybackim dostać się na morze Białe, akurat w pierwszych miesiącach lata. Boć przecież o wędrówce lądem nie można było nawet marzyć. Na pewno zatrzymanoby go na sowieckiej granicy, a choćby nie, to jakby przebył owe trzydzieści mil zatoki morskiej, dzielącej wyspy Sołowieckie od portu Kemi?

To też Zdzich przystąpił do wykonania swego planu spokojnie i rozważnie. Nie tak, jak ci chłopcy urwipołcie, co to z domu dla samych przygód uciekają, a potem ich policja ze wstydem sprowadza! Jemu chodziło wszak o uratowanie z rąk bolszewickich ukochanego tatusia...

*

*   *

Któregoś wieczoru przyłapała go Lorynka, jak ślęczał nad mapą, podarowaną mu przez znajomego marynarza. Mapa była stara i kiepska, znacznie gorsza od tych map, które miał pan porucznik na „Wichrze". Aleć zawsze mógł sobie Zdzich na niej swoje plany opracowywać.

— Czego wypatrujesz na tym papierze? — spytała dziewczynka.

— Nie twoja rzecz — odburknął Zdzich gniewnie.

— Może i nie moja. Ale jeśli zbierasz się na te wyspy, gdzie twego tatusia trzymają, to lepiej, żebyś mnie o tem powiedział szczerze. Pomogłabym ci chociaż...

Zdzich zdumiał się, skąd Lorynka mogła odgadnąć jego zamiary? Nic przecież nie mówił, z niczem się nie zdradził. Nawet ciotka niczego się nie domyśliła. A tu Lorynka zgadła...

— Nic dziwnego — uśmiecha się dziewczynka. — Jak się kogoś bardzo lubi, to wszystko, co ten ktoś robi, zaciekawia i tak jakoś łatwo zgaduje się myśli...

— To ty mnie niby lubisz tak bardzo, Lorciu?

— Nie mów do mnie: Lorciu, bo to imię papugi.

— No, nie gniewaj się, Lorynko. Bardzo jestem rad z tego, co powiedziałaś. Tak mi się jakoś ciepło na serduszku zrobiło. Ale czy ty się nie wygadasz przed ciotką?

— Nigdy! — Dziewczynka wyprężyła się dumnie i na znak przysięgi podniosła w górę dwa paluszki. — Słyszysz Zdzichu? Nigdy! Będę milczała jak mur!

W ten sposób Zdzich zyskał bardzo cennego sprzymierzeńca.

V. W ŚWIAT.

Morze tego październikowego ranka było straszne i ponure. Zdzich nigdy jeszcze nie widział go w takim gniewie. Jak okiem sięgnąć, całą zatokę Gdyńską pokrywały pieniste grzywacze, tłukące z szumem o kamienne ocembrowanie nadbrzeży. Raz po raz olbrzymie fale przeskakiwały przez wielką tamę falochronu, rozpryskując się na tysiączne bryzgi. Wicher wył i gwizdał, szarpiąc banderami, pochylając rosnące na piachach karłowate drzewka. W porcie holowniki, łodzie rybackie i mniejsze statki skakały zabawnie, unoszone na fali jak korki albo zabawki dziecinne. Na spacerowym moście, wychodzącym w morze, trudno było ustać, tak weń biły wicher i słone prysznice fal. A po niebie galopowały czarne, skłębione chmury. Znaczyło to, że długo nie będzie pogody.

W taki to jesienny, groźny, burzliwy ranek Zdzich wybrał się w drogę. Wstał przed świtem, kiedy nawet służba spała jeszcze twardym snem i spakował do uszytego przez Lorynkę worka swoje przybory podróżne i zapasy żywności: nóż marynarski, podarowany mu przez porucznika Jankowskiego, trochę bielizny, buciki, nieco uciułanego cukru i czekolady (Lorynka już oddawna pijała pokryjomu gorzką kawę, aby cukier chować dla Zdzicha, zbierała też dla

niego wszystkie cukierki i czekoladki), wielki suchar marynarski, (dar jakiegoś majtka), słowniczek angielski, mapę i ciepłą czapeczkę.

Sprawdziwszy wszystko, Zdzich bez pośpiechu narzucił futrzany płaszczyk, który mu onegdaj dopiero uszyto, przeżegnał się, włożył swoją czapeczkę marynarską i ruszył ku drzwiom.

Poomacku naraz coś go chwyciło za szyję. Chłopak wzdrygnął się, że tu — już na samym początku, natknie się na niebezpieczeństwo. Widać bolszewicy zwietrzyli jego zamiary. Ale to coś zapiszczało cichutko i Zdzich poczuł, że jakaś rosa osiada mu na policzku.

— Co to? — zawołał zdziwiony.

— Tsz! Cyt. Cicho. To ja — Lo... lo... rynka.

— Czego znów beczysz?

— Ja n...nie b...beczę, Zz...dzichu. T...tylko mi...tak smu...tno, że już j...jedziesz. M...masz tu jeszcze... ciasteczko n...na d...drogę.

Zdzich, wzruszony dobrem serduszkiem dziewczynki, które snać samo wyczuło odjazd, skoro Lorynka nieuprzedzona zeszła tak wcześnie do sieni, otarł poomacku dwie duże, płynące po policzkach łezki, potem ucałował siarczyście oba te policzki, uścisnął jeszcze rączki, co go puścić nie chciały — szarpnął się, ale delikatnie, żeby Lorynce nie zrobić krzywdy — i wybiegł na ulicę.

Wnet zakręcił się koło niego wicher morski, podniósł jak piórko w górę i popędził w stronę portu. Zdzich nie czuł prawie, że biegnie, tak wicher dmuchał, wyjąc: Wiju — wiju — wiju — uhu!

Na nadbrzeżu paliły się jeszcze wielkie elektryczne lampy, ale wstający brzask przyćmiewał ich światło. Zdzich

dąc, a mając oczy zasypane miotanemi przez wiatr tumanami piasku, musiał dobrze uważać, żeby nie wpaść do morza, żeby znaleźć okręt polski „Kraków“, o którym poprzedniego dnia dowiedział się, że idzie właśnie z węglem do Oslo w Norwegji. Tak się zabawnie nazywa stolica tego kraju.

„Kraków“ kończył właśnie ładowanie węgla, a oprócz tego wielki dźwig, jeżdżący po szynach, wrzucał na statek jeszcze jakieś worki. Zdzich wmig przypomniał sobie historję o murzyniątku, co to go na tle węgla nie było widać, i w swym czarnym płaszczyku skoczył na leżący na nadbrzeżu olbrzymi czarny worek, przywierając do niego całem ciałem. Za chwilę olbrzymi hak, uwiązany na łańcuchu do dźwigu, chwycił worek, i Zdzich, trzymający się sznura, którym worek ten był związany, poczuł, że z szaloną szybkością unoszony jest w górę.

Zrobiło mu się mdło, powiedziawszy prawdę, przestraszył się. Co będzie, jeśli worek uderzy o jakiś twardy przedmiot? albo jeśli rzucą go mocno do ładowni okrętowych?

A jeśli ręce nie utrzymają wiążącego worek sznura, lub sznur ten sam pod ciężarem chłopca się rozwiąże? Zleci wtedy z wysokości trzeciego piętra na bruk nadbrzeża. I z biednego Zdzicha pozostanie miazga.

Ale wszystko to trwa tylko jedną chwileczkę. Szerokim łukiem śmiga worek na łańcuchu ponad bulwarem i naraz Zdzich czuje, że leci gdzieś wdół. Nie wie, czy to już worek, puszczony sam, wyrżnie zaraz o dno ładowni okrętowej, czy też mocarny łańcuch wciąż jeszcze trzyma go i kieruje ruchami, jak tego chce zawieszony w budce człowieczek. Dla pewności zamyka oczy, jakby to co mogło pomóc.

Tymczasem łańcuch trzyma worek mocno i po chwili kładzie go delikatnie między innemi workami w ładowni

pod pokładem. Zdzich ogląda się ostrożnie. Wokoło same worki i worki na chłopa wysoko.

— Hurra! — jestem na „Krakowie“, — myśli chłopiec. I nikt mnie nie zauważył. — Za chwilę drugi worek nadjeżdża tą samą drogą, którą przybył Zdzich. Chłopiec ledwo ma czas się usunąć, aby nie być zgniecionym. Gdzie tu się schować? Po dłuższem szukaniu w półmroku, trafia wreszcie Zdzich na rodzaj biegnącej wkoło ładowni galeryjki. Siada w kąciku i przygląda się pilnie pracy dźwiga. Alę już po pół godzinie praca ustaje i wielka pokrywa zamyka wierzch ładowni. Robi się ciemno jak w grobie.

Zdzichowi znów jest trochę nieprzyjemnie. Wnet jednak uwagę pochłaniają różne rzeczy, dziejące się nad jego głową. Więc tupot nóg po pokładzie, gwizdki, krzyki komendy, charkot łańcuchów, syk pary.

— Pewnie odpływamy — myśli chłopiec i serduszko jego ściska się mocno. Jest przecież małym chłopcem, a na tak wielkie waży się przedsięwzięcie.

— Panie Boże wielki, daj, aby wszystko było dobrze, abym odnalazł tatusia i wyratował go! A potem żeby i mamusia się znalazła zdrowa i jak dawniej wesoła. I nie gniewaj się na mnie, że uciekłem od ciotki Krysi bez pożegnania. I miej nas wszystkich w Twej świętej opiece. Amen!

Tak modli się Zdzich, jak umie. A tymczasem zgiełk i bieganina na górze kończą się. Teraz miarowe drżenie przebiega cały kadłub okrętu. Widać puszczono w ruch maszyny i „Kraków“ płynie, bo słychać także plusk fali o burty i zawodzenie wichru, coraz gwałtowniejsze. Przenika ono nawet grube ściany zdzichowego więzienia.

Naogół jednak jest przyjemnie: dość ciepło, bo widać niedaleko jest kotłownia, gdzie palacze robią parę potrzeb-

ną do maszyn. Leciutkie kołysanie też nie jest przykre i chłopiec, poczuwszy nagle głód, sięga poomacku do woreczka. Z jedzeniem trzeba jednak oszczędnie. Zapasy — licząc nawet ciastko Lorynki — są skąpe, a taki okręt handlowy idzie do tego Oslo, jak mówił porucznik, trzy do czterech dni, a czasem i dłużej.

Biedny Zdzich. Wcale nie wie, że prędko mu się jeść odechce zupełnie. Bo oto „Kraków" snać wypływa z portu na szersze wody. Chłopiec czuje nagle jakąś dziwną zmianę w otoczeniu. Przez chwilę nie może sobie nawet zdać sprawy z tego, co się dzieje. I dopiero po dłuższej chwili pojmuje, że to okręt musi się gwałtownie kołysać, jeżeli ściana wydaje się podłogą lub sufitem, a wszystkie nieumocowane przedmioty przesuwają się z kąta w kąt.

Z początku bawi to Zdzicha i dziwi. Wnet jednak lęk znów ogarnia chłopca. Różne ciężkie przedmioty biegają w ciemnościach, niczem żywe, zupełnie jakby grały ze sobą w komórki do wynajęcia. Zdzich nie widzi tych przedmiotów, ale czuje je doskonale. I wielki strach go ogarnia. Bo jakże tu się uchronić od takiego naprzykład kawała żelaza (może łopaty czy drąga), który miotany kołysaniem, przelatuje o cal od Zdzicha i z wściekłością bije w ścianę. Albo od jakiegoś obluzowanego worka, co naraz zsunął się z piramidy i może chłopcu przygnieść nogi, a i całego udusić.

Hur - hur - hur warczy, obijające się po kątach żelastwo, jakby jeździło na niem całe stado czarownic. Stuk-puk - stuk - puk tłuką jakieś drewna. Husz-husz syczy bela towaru, przesuwając się zdradziecko za plecami Zdzicha. Wszystkie przedmioty, jakby nagle ożyły, harcują po ładowni, widać rade, że wreszcie odzyskały wolność po tak długiem spokojnem leżeniu.



Okręt kołysał się gwałtownie.

Mało tego. Po kilku minutach Zdzich czuje, że robi mu się niedobrze. I to jakoś niezwykle. Raz, pamięta, objadł się gruszek prosto z drzewa, a były jeszcze zielone i bardzo twarde. I po tych gruszkach strasznie chorował na mdłości i wymioty. Tak i teraz Zdzich czuje jakiś ucisk w ramionach, w żołądku dławienie, a na głowie stukilowy ciężar. Brr! Jak niedobrze.

Mija jeszcze kilka minut. Fala bije wściekle o burty, okręt kołysze się coraz silniej. Gdyby Zdzich był na pokładzie, zobaczyłby, jak dziób ryje w spienionej fali, niczem pług w miękkiej ziemi. Jak olbrzymie bałwany wyskakują na pokład, bijąc nawet w mostek kapitański. Jak dziób zarywa

się w morzu, a rufa (tył) wychodzi z wody, ukazując cały ster i kręcącą się w powietrzu (zamiast we wodzie) śrubę. Jak od czasu do czasu okręt przechyla się na boki, a wtedy woda pomyka wzdłuż całego pokładu.

Zdzich jednak tego wszystkiego nie widzi, bo w tej chwili oddaje duszę Bogu. Zdaje mu się, że lada chwila już będzie po nim, tak okropne czuje mdłości, tak go coś strasznie dławi w piersiach. Zobojętniał też na wszystko i nawet nie zwraca uwagi na biegające z hukiem i brzękiem groźne przedmioty.

Biedny Zdzich! Żeby był wiedział... Ale nic nie pomoże biadać. Trzeba jakoś znieść to wszystko, jak na mężczyznę przystało.

Daremnie jednak Zdzich stara się być spokojnym. Głowa ciąży okrutnie, mdłości są coraz większe. I naraz chłopiec poczyna wymiotować tak mocno, jakby wnętrzności całe chciał ze siebie wyrzucić.

— Już rozumiem — mruczy sam do siebie, między jednym atakiem, a drugim, — to na pewno morska choroba.

Śmiał się nie tak dawno jeszcze z opowiadań o tej chorobie. Podobno musi ją przebyć każdy człowiek, co wchodzi na kołyszący się okręt, aż się do kołysania tego przyzwyczai. Są tacy, co przyzwyczajają się bardzo prędko, a są i tacy, co nigdy. Ci ostatni muszą raz na zawsze wyrzec się podróżowania po morzu.

Ale ci, co przyzwyczajają się, mówią potem, że inni „jadą do Rygi". Bowiem w języku morskim taka choroba — żeby nie mówić tak wprost o torsjach czy wymiotach, nazywa się właśnie „jazdą do Rygi".

Zdzich jedzie więc do Rygi ile wlezie, a właściwie wylezie. I wcale mu nie do śmiechu. Oto przychodzi nowy atak.

Siły opuszczają chłopca, a nadomiar złego nie może się położyć, bo w rozkołysanem i ciemnem pomieszczeniu mógłby być miotany razem z przedmiotami i rozbity o jakąś ścianę.

Na górze wicher wyje, fala miota się wściekle. Okręt walczy ciężko z żywiołem, płynie, nurzając się w pianie. A wewnątrz okrętu mały chłopiec ledwo już dyszy.

Mijają godziny, które wydają się latami. Zdzich wpół przytomny pomiędzy jednym, a drugim atakiem, nie wie, gdzie się podziać. Boli go całe ciało, jakby mu je ktoś poprzetrącał kijami. A okręt nie przestaje się kołysać ani na moment.

— Panie Boże, bądź miłościw, Panie Boże, bądź miłościw, — szepcze Zdzich w rzadkich chwilach przytomności. — Spraw, żeby już tak nie bujało.

A Pan Bóg czuwa nad nim z pewnością, skoro dotąd żaden z hulających po ładowni przedmiotów nawet go nie potrącił. Jakby rozumiejąc, że temu małemu i dobremu chłopczykowi nie trzeba zrobić nic złego, wielkie bele towaru czy kawały żełaza, przesuwają się obok Zdzicha, nie czyniąc mu krzywdy.

I naraz z trzaskiem otwierają się w głębi jakieś drzwi. Promień światła pada do ładowni i wpółprzytomny Zdzich słyszy wśród zgiełku urywki rozmowy:

— Gdzie, powiadasz...?

— Tu gdzieś w ładowni numer trzy. Bije, jak cholera.

— Widać urwała się...

— A tak. Ale jak tu ją złapać?

Światło trzymanej przez człowieka latarni poczyna tańczyć jasnemi plamami po podłodze, suficie i ścianach. Zdzich wie, że właściwie powinien się czem prędzej ukryć, ale tak jest wymęczony, tak spragniony widoku ludzi, tak żądny

pomocy, — że za wszelką cenę, choćby go mieli za karę zakuć w kajdany, musi dać znać o sobie.

Natęża więc, ile może swój głosik i woła:

— Ratunku, panowie! Ratunku!

Ale nikt go nie słyszy. Marynarze zajęci są zupełnie czem innem. W tej chwili obchodzi ich tylko wielka żelazna sztaba, wagi pięćdziesięciu kilogramów, która, urwawszy się z haków, przewala się z jednego boku okrętu na drugi, miażdżąc wszystko po drodze. Dobrze, że Zdzich siedzi na galeryjce, nieco wyżej. Inaczej byłoby już po nim.

Długo mocują się trzej marynarze z przeklętą sztabą. Ta wymyka się im, jak żywy wąż. Ale wreszcie chwytają ją, przywalają workami, wiążą znów do haków.

Teraz hałas jest nieco mniejszy, a odblaski latarki padają coraz bliżej.

— Ratunku! — woła znów Zdzich.

— A zaś kto tam je ?— odzywa się nagle z rybacka gruby, męski głos.

— To ja, Zdzich — odpowiada cichutko chłopiec, zapominając, że przecież nie zna go żaden z marynarzy.

— Herr je! Blind *). Prawdziwy blind! I to dzieciok — mówi ze zdziwieniem marynarz, podnosząc ku Zdzichowi swą rozkołysaną latarnię. — Skądeś się ino tu wzioł?

Ale Zdzich nie odpowiada, bo właśnie wyczerpały się jego siły i zemdlał.

---

*) Blind — (ślepy pasażer) — pasażer bez biletu na okręcie.

VI. NA „KRAKOWIE“ DO OSLO.

Jasny promień słońca toruje sobie drogę przez okrągłe okienko, zwane z morska iluminatorem i kładzie na suficie kabiny długie, świetliste pasma. Igrają one zabawnie, goniąc się wzajem, aż wreszcie wszystkie razem zbiegają się nad czołem twardo śpiącego Zdzicha.

Zdzich raz i drugi usiłuje odpędzić promyki, zasłaniając twarzyczkę rękoma. Ale jeden taki złocisty, odbity w morzu promyczek kładzie się w sam raz na czubku Zdzichowego noska. I póty łaskocze a podryguje, aż chłopiec kicha i otwiera oczy.

— Gdzież ja jestem? — woła głośno.

Tak naraz dziwnem wydaje się wszystko wokoło. Przecież niema tu ani wygodnego łóżeczka z siatką, ani komody, ani wielkiego okna, wychodzącego na nadbrzeże portowe.

Zamiast tego wszystkiego jest malutkie, okrągłe, okute mosiądzem okienko, za którem co chwila pokazuje się zielona, spieniona woda. W kącie stoi mała, żelazna, przyśrubowana do podłogi szafka. Obok składane biurko, które zapewne chowa się do ściany i takąż maleńka umywalka. Dalej łóżko, ale jakieś dziwne, wysokie, do skrzynki podobne. Spał na niem widać ktoś, bo pościel jeszcze zmięta. Pod sufitem lampa zawieszona zabawnie, tkwi nieruchomo, choć cały pokoik kiwa się to w jedną, to w drugą stronę.

Ale najciekawiej wygląda Zdzichowe posłanie. Nie jest to wcale łóżko, ale zawieszony od ściany do ściany hamak — takie rozpięte na sznurach płótno, w którem leży, nakryty kocem Zdzich. Jest mu tam bardzo dobrze, bowiem prawie wcale nie czuje kołysania.

— No, jak tam chłopcze, lepiej ci? — pyta naraz od progu jakiś głos.

Zdzich z trudem odwraca zbolałą jeszcze główkę i widzi wysokiego, młodego człowieka z dwoma złotemi galonami na rękawach. Podobny jest nawet do porucznika Jankowskiego, tylko że tamten miał na galonach pętlice, a ten ma galony proste. Zdzich przypomina sobie, że taka właśnie jest różnica między oficerami wojennej i handlowej marynarki.

— Lepiej, panie poruczniku — odpowiada jeszcze słabym głosem. — Dziękuję.

— Jakeś się dostał na okręt? — pyta oficer, teraz już groźniejszym tonem.

Zdzich odrazu opowiada całą prawdę i wyjawia cel swojej podróży: byle do tej Norwegji, skąd do tatusia już bliżej. No i Zdzich nie jest przecież żadnym włóczęgą. Wkradł się na statek bez pozwolenia — to prawda. Ale teraz prosi o jakąś pracę, żeby mógł odwdzięczyć się i zarobić na utrzymanie.

— Zobaczymy — mówi porucznik. — Pomówię z kapitanem. A tymczasem wstawaj, uporządkuj kabinę i zaściel moją koję (łóżko).

Zdzich posłusznie wyskakuje z hamaku; ale o dziwo! — nogi uginają się pod nim. Kołysanie chociaż mniejsze, wciąż jeszcze trwa, i choć żołądek chłopca nie ucieka już pod su-

fit, to jednak chodzić po takiej bujającej się podłodze trudno. Raz po raz obija się Zdzich to o drzwi, to o szafkę.

— Trzeba szeroko rozstawiać nogi — myśli Zdzich, który już nieraz słyszał od marynarzy, jak należy chodzić na okręcie. Ale niebardzo mu się to udaje i tymczasem myje się jak kot jedną łapką, bo drugą musi się przytrzymywać ściany.

— Pan komendant powiedział, że nie chce cię widzieć na oczy — mówi porucznik. — Chce nawet, żeby cię w pierwszym porcie oddano w ręce konsula polskiego. Ale mnie się coś widzi, żeś porządny chłopak, więc już jakoś to na swoją odpowiedzialność wezmę. Marsz do kuchni, tam dostaniesz śniadanie, potem kucharz da ci robotę, a wieczorem pójdziesz spać do pomieszczeń załogi.

I oto, łyknąwszy mocnej, czarnej kawy z kawałkiem czerstwego chleba, Zdzich bierze się do obierania ziemniaków. Nie pierwszyzna mu to, bo już za dawnych, złych czasów obył się z nożem i skrobaczką. Prawdziwy mężczyzna musi wszystko umieć zrobić samemu, a nie dać się wyręczać czy usługiwać sobie.

Kucharz zadowolony, że go ktoś wyręczył przy robocie, daje chłopcu sporą menażkę zupy, w której pływa kawał tłustego mięsa. Zdzich po wczorajszej chorobie, zajada, aż mu się uszy trzęsą i śmieje się w duchu, przypominając sobie, jak to Lorynka grymasiła przy stole! Ba, żeby wiedziała, co to głód — nie byłaby taka!

Po obiedzie trzeba było wyszorować naczynia, zamieść pokład. Zdzich zrobił to chętnie, szczególnie zamiatanie pokładu sprawiło mu zabawę, bo przedtem polewało się wszystko z węża od sikawki.

Tymczasem „Kraków“ płynął po coraz spokojniejszem

morzu. Ale wokoło wciąż jeszcze była pustka. Od czasu do czasu widać było tylko dym innego parowca, albo żagiel. I stado ptaków morskich, białych, piskliwych mew ciągnęło za okrętem, chwytając wlot wyrzucane z pokładu odpadki.

— Że te ptaki się nie zmęczą — myślał sobie Zdzich, widząc, jak niezmordowanie krążyły w powietrzu za rufą, opadając na wodę tylko dla schwytania żywności.

— A bo w nich zaklęte są dusze złych żeglarzy — tłumaczył mu kucharz. — Za karę nigdy nie znają odpoczynku. Tylko krążą po pustkowiach wodnych i krzyczą żałośnie swoje: irri -krrr!

*

* *

Wieczorem Zdzich zawiesza swój hamak w kajucie marynarskiej. Pachnie tam wilgocią, tytoniem fajkowym, rybami i stęchlizną. Ale co tam! Chłopiec nawet jest zadowolony, że może żyć życiem prawdziwego marynarza.

Nazajutrz o świcie, to jest trzeciego dnia podróży, ukazują się zdala jakieś brzegi. Zielone są jeszcze, mimo późnej już pory roku. „Kraków“ coraz to porykuje swoją syreną, a wkońcu wywiesza biało - niebieską flagę. Znak, że prosi o pilota (przewodnika, który go wprowadzi do portu).

Zaraz zbliża się mały parowczyk, skacząc jak korek na fali. Za chwilę dobija do wysokiej burty „Krakowa“ i krępy, tęgi pilot w ceratowym płaszczu po sznurowej drabince wdrapuje się na pokład. Trzeba być istnym akrobatą, aby tak z rozhuśtanego parowczyka, ponad otchłanią morską, przeskoczyć na zwisającą z burty drabinkę.

— Morning — mruczy pilot, wyszedłszy na mostek. I zaraz zapala fajkę.

— To już Norweg? — pyta Zdzich kucharza.



Pilot po drabince wdrapał się na pokład.

— A tak — odpowiada marynarz. — Tutaj będziemy wchodzić do takiej długiej, wąskiej zatoki, gdzie pełno skał podwodnych. Więc wszystkie okręty biorą pilotów, którzy znają dobrze te wody i wskazują drogę w dzień i w nocy.

Brzeg jest teraz coraz bliżej. Zdzich widzi już wyraźnie biały grzebień fali, tłukącej się o kamienie, małe domki odcinające się wyraźnie na tle zieleni lasów i szarzyzny skał, tu i ówdzie dymiące kominy fabryczne. Naraz, w miejscu gdzie Zdzich się najmniej tego spodziewał, — ląd otwiera się i powstaje w nim szeroka na kilka mil *) cieśnina, w którą z radością wlewa się morze, a wraz z niem i „Kraków".

*) Mila morska = węzeł = 1852 metry.

Teraz woda jest już zupełnie spokojna, a brzegi z obu stron oblepione pięknemi willami i domami. Przed każdym domkiem maszt, a na nim norweska bandera: błękitno-biały krzyż na czerwonem polu.

— Czy to dziś jakie święto? — pyta Zdzich.

— Nie. Tylko niedziela. Ale tu naród już taki, ojczyznę swoją kochają nadewszystko. Więc przy każdej okazji bandera narodowa powiewa na maszcie. To przecież świętość i duma narodu — tłumaczy porucznik, który właśnie zeszedł z mostku.

— Czy prędko będziemy w tym Os... ośle, panie poruczniku?

— W Oslo — stolicy Norwegji. Za kilka godzin. Ta cieśnina nazywa się Oslo - fjord. Ale co zamierzasz zrobić teraz, synu?

— Już niech pan porucznik się o to nie martwi. Dałem sobie radę dotychczas, to z boską pomocą dam i teraz.

— Hm. Niebardzo w to wierzę. Kto ci tam pomoże? Nasz konsul najwyżej odeśle cię zpowrotem. A Norwegowie dla obcych niebardzo są uczynni. Zresztą, nie dogadasz się z nimi. Chyba, że do króla pójdziesz — mówi półżartem oficer.

— To w tej Norwegji jest król? — dziwi się Zdzich. — Taki prawdziwy z koroną, berłem i rycerstwem nadwornem?

— No, niebardzo — uśmiecha się porucznik. — Król to jest prawdziwy, jak każdy monarcha. Ale dzisiejsi królowie to nie to, co dawniej. Korona i berło leżą w skarbcu i pokazywane są zagranicznym podróżnikom. Zamiast rycerstwa jest wojsko narodowe, a dwór to specjalnie w tej Norwegji dość ubogi. Sam król nie rządzi krajem, tylko parlament — taki ich sejm — który wybiera znów mini-

strów. A król musi się zgodzić na to, co parlament chce i nie ma więcej władzy niż u nas Pan Prezydent. Tyle tylko, że zamiast być wybieralnym, jest dziedzicznym, to znaczy po śmierci ojca królem jest najstarszy syn.

— A jak się ten król norweski nazywa?

— Teraz to panuje tu Hakoon VII, a jego syn — następca tronu, nazywa się książe Olaf. Ma on już też malutkiego synka, który zkolei będzie kiedyś następcą tronu.

Zdzich słucha ciekawie, a „Kraków“ tymczasem płynie, prowadzony wprawną dłonią pilota. Na brzegach widać miasta, miasteczka, wsie rybackie, fabryki. Ot, samym brzegiem biegnie pociąg, ciągnąc za sobą smugę białego dymu. Wygląda zdaleka zupełnie jak te śliczne zabawki, którym się Zdzich nieraz w oknach sklepowych przyglądał.

A i na wodzie ruch teraz wielki. Suną jeden po drugim, pozdrawiając się potężnemi rykami syren okrętowych, wielkie okręty. Oto „pasażer“ wielopokładowy pod angielską banderą. Pewnie zmierza do Londynu. A oto „kupiec“ fiński, cały naładowany drzewem. Tam znów inny „kupiec“ — duńczyk, pewno z masłem lub jajami, a może i trzodą chlewną. A teraz sunie torpedowiec norweski, pilnujący tu porządku, jak policjant na rogu ulicy. Choć jest mały, wszyscy pozdrawiają go uprzejmie, spuszczając bandery. A on odpowiada, jak przystało na okręt wojenny, z godnością, opuszczając swoją tylko do pół masztu.

Wzdłuż brzegów śliczne żaglówki z wysokiemi białemi żaglami, to jachty spacerowe lub wyścigowe. A dalej łodzie rybackie o żaglach brunatnych i niskich, przysadzistych kadłubach.

Jest już dobrze pod wieczór i słońce chowa się za góry, coraz wyższe i coraz ciaśniej fjord otaczające. Tu i ówdzie



Woddali... zaczynają się zapalać światełka.

poczynają migotać światełka ostrzegawcze. Woddali ukazuje się jakaś wielka ciemna plama, wśród której na wyścigi z mrokiem zaczynają się zapalać tysiączne światełka.

— Oslo — mówi kucharz.

Teraz Zdzichowi zaczyna być markotno. Na „Krakowie" było mu tak dobrze. Przez te trzy dni, mimo niechęci kapitana, czuł się jak u siebie w domu. Zżył się z okrętem i z załogą. A teraz trzeba będzie znów pożegnać porucznika i kucharza i burego kota Bosmana, z którym razem jadali znakomite morskie rybki, i hamak, i cały „Kraków" — ostatni skrawek ojczyzny. Boć przecież okręt, pod polską banderą płynący, jest kawałkiem Polski.

* * *

Ostatnią noc na „Krakowie“ spędził Zdzich smutno. Spać nie mógł, bo go lęk ogarniał, co będzie dalej, i czy go na ląd puszczą, i czy nie zaaresztują, albo zpowrotem nie odeślą? A jeśli pozwolą zostać, to jakże daleko jeszcze stąd do odszukania i wydostania kochanego tatusia! Jak tu dać sobie z tem wszystkiem radę!

Przewracał się więc Zdzich w hamaku, aż ten od ściany do ściany się bujał. Dopiero nad samym ranem zasnął i ledwo go dobudzono na ósmą.

— Wstawaj, chłopcze, i zbieraj manatki! — wołał kucharz. — Już po rewizji celnej i stoimy przy nadbrzeżu. Będziemy wyładowywać nasz polski węgiel — te polskie czarne diamenty. Wynoś się więc, póki czas, żeby cię gdzie „stary“ nie przydybał. Bo wtedy pewnikiem odda cię policji.

Zdzich nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. I oto teraz z workiem na plecach wędruje sobie po takiej szerokiej, pięknej ulicy, pełnej sklepów z najróżnorodniejszemi towarami.

Po prawdzie niebardzo mu to całe miasto imponuje. Czyste jest wprawdzie, tramwaje śliczne i autobusy wielkie, w sklepach dużo różności, — ale ruch jakiś mały, wszystko trochę senne, powolne, a i domy takie skromniutkie, rzadko który ma więcej, jak dwa — trzy piętra. Zato przed każdym ogródek i maszt dla chorągwi.

Na rogu stoi policjant i reguluje ruch. Zdzich na jego widok aż kurczy się. Chciałby schować się w tłumie. Bo nuż przyjdzie policjantowi ochota spytać się Zdzicha, co on za jeden, a potem odprowadzić do konsulatu!

Ba, ale skąd wziąć tłum, kiedy na całej ulicy spaceruje może dziesięć osób, a i tramwaj przejeżdża w połowie pusty.

To też Zdzich jakoś chyłkiem przemyka na drugą stronę, poleciwszy się łasce losu.

Ale policjant wcale na chłopca nie zwraca uwagi, bo właśnie z wielkiem namaszczeniem zatrzymuje ciągniony przez psy wózek z mlekiem i daje drogę pustemu tramwajowi.

Dopiero w pięknym, ustronym parku Zdzich przysiada na ławce i zaczyna rozmyślać. Jest w Oslo —stolicy Norwegji, mieście portowem o 250.000 mieszkańców. Ale co dalej? Do króla go przecież nie puszczą.

Naraz na wieży wielkiego staroświeckiego ratusza wybija południe. A jednocześnie puste dotąd miasto zaludnia się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Z biur, sklepów, magazynów, fabryk wychodzą ludzie, zapełniają tramwaje, zajmują całą szerokość chodników. Po jezdni suną całe sznury rowerzystów, tak mężczyzn jak i kobiet.

— To obiadowa pora — rozumuje Zdzich. — Więc wszyscy wychodzą z pracy, aby udać się na posiłek. Kuchta opowiadał przecież, że w Norwegji pora obiadowa to godzina święta i dla całego kraju jednakowa: od dwunastej do drugiej.

A oto dzieci wychodzą ze szkoły i czereda rumianych pyszczków mija siedzącego samotnie na ławce Zdzicha. Jeden i drugi pyszczek uśmiecha się po przyjacielsku, a jakaś dziewczynka podobna do Lorynki, tylko nie taka ładna, podbiega nawet i coś ze śmiechem woła.

Zdzich pierwszy raz czuje, jak to niemiło, kiedy się nie rozumie obcego języka i nie wie, co odpowiedzieć. Dziewczynka stoi zdumiona, patrząc nań jak na niemowę. Strasznie głupio robi się Zdzichowi.

Ale to tylko na chwilę. Chłopiec nie traci głowy z powo-

du jednej małej „Norki“. To też wykrzywia się pociesznie i najczystszą polszczyzną powiada:

— Nie rozumiem. Może panienka mówi po angielsku?

Wywołuje to istny popłoch wśród gromadki. Dziewczynka ucieka, a wślad za nią kilkoro dzieci, które zdaleka przyglądały się rozmowie. Już to widać wielkiego zaufania do cudzoziemców w tej Norwegji nie mają. Nie to co w Polsce, gdzie swego często ukrzywdzą, ale dla obcego zawsze chcą być gościnni, choć czasem przesadnie a niepotrzebnie.

Markotny siedzi Zdzich na swej ławce i myśli. Myśli wciąż, a nic wymyślić nie może. Na zegarze ratusza wybija pierwsza, potem wpół do drugiej. Ludziska poczynają wracać do zajęć. Gromadka dzieci znów przebiega koło ławki, bocząc się na Zdzicha. Ten wstaje i powoli zaczyna iść w przeciwną stronę. A nuż kto się zdziwi, że chłopiec tak długo sam jeden siedzi na ławce i przyśle poń policjanta?

W miarę jak Zdzich wędruje, park staje się coraz piękniejszy. Drzewa coraz większe, z rozłożystemi konarami. Ścieżki coraz lepiej utrzymane, biegnące malowniczemi dolinkami, po dnie których szemrzą małe strumyki. Oto i śliczny, wygięty jak grzbiet łaszącego się kota, przerzucony przez strumień mostek. Na mostku coś napisane — Zdzich oczywiście nie rozumie co. Mimo to śmiało przechodzi na drugą stronę i siada na ławce nad dużym, cichym stawem. Bardzo tu pięknie. Wokoło pusto zupełnie, tylko ptaszki ćwierkają, skacząc z gałązki na gałązkę i małe złotopręgie jaszczurki biegają po skałach.

Daleki zegar na wieży wybija trzecią. Ale mimo, że obiadowa pora dawno minęła, a w woreczku niepokoi się potężne śniadanie, dane przez poczciwego kuchtę na drogę Zdzichowi, chłopiec nic a nic nie czuje apetytu. Wciąż myśli

o tem, co robić dalej? Przecież nocować tu w parku nie będzie można, bo choć śniegu jeszcze niema, to jednak chłodno się robi i jeśli spostrzegą, to mogą wziąć za włóczęgę i zatrzymać.

Wiele, wiele myśli kotłuje się w główce Zdzicha, ale jakoś żadna nie utyka w miejscu. Brzęczą tylko jak rój pszczół uprzykrzonych, a huczą. Głowa już zaczyna boleć, a tu nic wymyśleć nie można.

I nagle wśród panującej ciszy, uszu Zdzicha dochodzi wyraźnie krzyk kobiety, a potem płacz dziecka. I znów krótki, urwany krzyk kobiecy. Co to być może?

Nie namyślając się długo, Zdzich pędzi w stronę, skąd doszedł krzyk.

VII. ZDZICH RATOWNIKIEM.

Żeby kto kazał Zdzichowi opowiedzieć, jak to było, Zdzich nie potrafiłby z pewnością. Wszystko tak jakoś stało się prędko, cudownie a nieoczekiwanie. Jeden dobry Pan Bóg mógł to sprawić, ulitowawszy się nad chłopcem, co, aby ojca swego odszukać, wybrał się w tak daleką drogę.

Bo i proszę. Leży sobie Zdzich teraz w pięknej komnacie, w łóżeczku aż pachnącem od świeżego lakieru, pod puchową kołderką. Przed kilkoma godzinami groził mu przecież nocleg w lesie, a teraz ot śpi tu, w zamku królewskim, a za oknem słyszy kroki przechadzającego się gwardzisty.

To też Zdzich ani rusz zasnąć nie może, tylko wciąż skleja historję tych kilku ostatnich godzin. Szczegóły plączą mu się w główce, a widziane postacie skaczą przed oczyma. Ot, teraz widzi jakiegoś pięknego oficera w kapeluszu z koguciem piórem, nachylającego się nad łóżeczkiem.

O, ale to nie sen, bo oficer naprawdę nachyla się nad łóżeczkiem Zdzicha, aż dzwonią mu na piersiach złote ordery i mówi po angielsku:

— Jego Królewska Wysokość kazała zapytać, czy braciszkowi dobrze w tem łóżeczku i czy czego nie potrzebuje?

Zdzichowi jest strasznie dobrze, bo aż razem z roztkliwieniem, ogarnia go jakaś chłopięca przekora. I dobry humor wraca. Mruczy też sam do siebie po polsku:

— Patrzcie go. Awansowałem na królewskiego braciszka.

Głośno zaś po angielsku dodaje:

— Dziękuję. Jest mi zupełnie dobrze i nic nie potrzebuję. Proszę królewiczowi powiedzieć ode mnie dobranoc.

Oficer wychodzi, dzwoniąc ostrogami, a Zdzich znów zaczyna mozolnie sklejać przeżycia ostatnich godzin. Aha — więc to tak było:

Kiedy usłyszał krzyk, pobiegł odrazu wgłąb parku. Po chwili stanął nad obszerną sadzawką, po której pływała wywrócona łódka. Zdzich przypomina sobie, że wyglądała nawet całkiem śmiesznie, jak pies, co się wywrócił brzuszkiem do góry.

Ale nie o łódkę tu chodziło. Bo tuż obok szamotały się w wodzie, plącząc się w sukniach i krzycząc wniebogłosy, dwie kobiety, trzymające się kurczowo łódki. Obok zaś pływało po wodzie jeszcze jakieś małe zawiniątko, które widocznie już zamokło, bo powoli zagłębiać się zaczęło.

Zdzich niewiele myśląc, zrzucił kurtkę i buciki i dał susa w sadzawkę, aż woda na wszystkie strony chlupnęła. A że pływak był doskonały, (bo jeszcze w Gdyni codziennie w morzu pływał i z Lorynką czasem śmiało na fale się puszczał, aż go inne dzieci Węgorzem przezywały) — więc w trzy sekundy dopłynął do tej pani, co opodal łódki się topiła. Ale ta zamiast dać się ratować, wrzeszczała tylko coś nieprzytomnie po norwesku, łypiąc strasznie oczami.

Zdzich narazie zgłupiał i nawet woda go trochę zalała. Ale oprzytomniawszy, poszedł za wzrokiem tej pani i zobaczył zawiniątko, na które też i druga kobieta rozpaczliwie wskazywała. Zrozumiał więc, że w zawiniątku tem musi być

coś drogocennego i kilkoma potężnemi uderzeniami nóg i rąk wnet tam dopłynął.

Jakież było zdumienie Zdzicha, skoro w zawiniątku, które się okazało stosem poduszek i które trzymało się na wodzie dzięki swej wypchanej mocno objętości, znalazł żywe, choć mocno wystraszone i nawpół zduszone dziecko.

Nie było czasu do stracenia. Popychając przed sobą zawiniątko, Zdzich szybko dopłynął do brzegu, wyciągnął dziecko na ląd, wyrwał z przemokłych poduszek, chwycił na ręce i...

I nie wiedział, co czynić dalej.

Ale już od strony pobliskiego pałacu biegli ku niemu ludzie. Dużo ludzi. Jacyś panowie w mundurach. I inni po cywilnemu. I inni ze złotemi sznurami. I panie w kolorowych sukienkach. Biegli jak oszaleli i wnet dopadli sadzawki. Jedni poczęli zaraz obie kobiety z sadzawki wyciągać. Inni dobiegli do Zdzicha i wyrwali mu dziecko z ręki. A gwałt był przytem okrutny, tylko, że Zdzich nic z tego wszystkiego nie rozumiał.

Stanął sobie też spokojnie na uboczu, rad, że swoje zrobił i patrzał, nie czując, że jest cały mokry i że woda ciurkiem z niego ścieka. A tymczasem jakaś pięknie ubrana pani porwała dziecko na ręce i otoczona przez oficerów pobiegła do pałacu.

Teraz Zdzich był w kłopocie. Co robić dalej? Jak się stąd wydostać? Naraz poczuł, że mu zimno, że jest mokry. Trzeba się zaraz rozebrać, bo przeziębienie pewne.

Schował się tedy za drzewo, zdjął spodeński i bieliznę, rozwiesił to wszystko na krzakach, tak, aby od strony pałacu nikt zobaczyć nie mógł, a sam okrywszy się kurtką, siadł sobie na mchu, dzwoniąc zębami. Dobrze mu nie było,

ale w gruncie rzeczy zadowolony był, że spełnił chrześcijański i ludzki obowiązek: bliźniego od śmierci wyratował.

Kiedy tak siedział, naraz zachrzęściły gałęzie pod nogami idących ludzi. Porwał się Zdzich, by uciekać, ale jakże? Tak na goło? I rzeczy zostawić? Ładnieby wyglądał! Przecież takiego golasa zatrzymanoby zaraz, gdzieby się tylko pokazał! A chyba nic złego nie zrobił, więc pocóż miałby uciekać?

Jakoż i stanęło zaraz przed nim dwóch ludzi: jeden wysoki w granatowym mundurze, ze srebrnemi odznakami, drugi bardzo śmieszny w pluszowym spencerku i spodeńkach z białemi pończochami. Zaczęli doń mówić bardzo dużo po norwesku. Zdzich, nic nie rozumiejąc, odpowiedział po angielsku. Więc gadali ze sobą tak chwilę, jak ten dziad z obrazem, aż wreszcie tamci zniecierpliwili się, pan w mundurze zdjął pelerynę i okrył nią Zdzicha, poczem bez wysiłku wziął jak kociaka na ręce i poniósł do pałacu.

— Panie, a moje ubranie! — krzyknął Zdzich już po polsku, zrozpaczony, że mu rzeczy zginą.

Pan w mundurze nie zrozumiał, ale ten drugi podszedł i tak do krzaków i pozbierał Zdzichową garderobę, z pieczołowitością jakby należała do jakiegoś księcia, a była z czystego jedwabiu .

A potem to dopiero była heca! Wprowadzono Zdzicha do takiego pokoju, co miał całe ściany złotem i drogiemi tkaninami poobwieszane. A przed biurkiem siedział tam starszy pan w mundurze z haftowanym kołnierzem i złotemi epoletami. Pan ten zaraz zaczął pytać Zdzicha po angielsku, skąd tu jest i co tu robi? Ale choć wyglądał bardzo srogo i brwi mu się ciągle jeżyły, Zdzich nie bał go się nic

a nic. Bo człowiek, co ma czyste sumienie, nie boi się nikogo.

Opowiedział też Zdzich temu panu całą swoją historję: Jako-że na poszukiwanie swojego tatusia, uwięzionego na Sołówkach, się wybrał i że mu powiedzieli, że z Norwegji będzie się łatwiej tam dostać. I jak do parku zaszedł, nie wiedząc, co dalej czynić. Jak krzyk usłyszał, zobaczył wypadek na sadzawce i na ratunek się rzucił. A teraz prosił tylko, by mu pozwolono wysuszyć ubranie i ruszyć dalej.

Pan słuchał uważnie i od czasu do czasu o coś pytał. Raz nawet zapytał o Polskę i o Gdynię, ale Zdzich nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle drzwi otworzyły się i wszedł jakiś oficer. Powiedział głośno kilka słów i stanął na „baczność" przy drzwiach. Starszy pan też od biurka zerwał się i wyprężył służbiście. A wówczas przez drzwi wszedł młody jeszcze człowiek, w skromnym cywilnym garniturze i odrazu ruszył do Zdzicha.

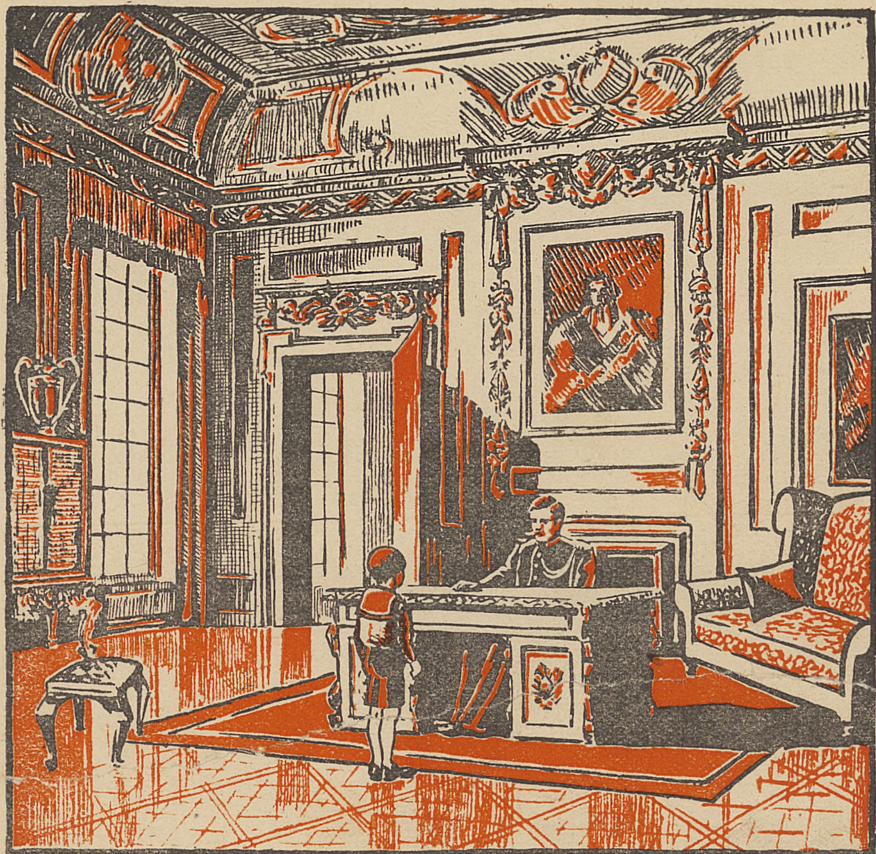
Zdzich poczuł, nie wiedzieć czemu, że tego pana i bardzo lubi, i bardzo szanuje. A kiedy ów młody pan położył mu rękę na głowie i pogłaskał mokre jeszcze włosy Zdzicha, ten ostatni, niewiele myśląc, buch go w mankiet, jak rodzonego ojca.

A za chwilę aż mu się samemu dziwno zrobiło, że takiego obcego pana w rękę pocałował. Widać było w nim coś takiego, co szacunek i miłość wzbudzało.

Tamten zaś wziął chłopca pod brodę i wciąż głaskał po ojcowsku, słuchając jednocześnie, co mu tamten stary z za biurka opowiadał. Aż wreszcie zwrócił się do Zdzicha czystą, dźwięczną angielszczyzną:

— Jak ci na imię, chłopcze?

— Zdzich — odpowiedział nasz bohater.



Zdzich na królewskim zamku.

— Zzdżyk — skrzywił się pociesznie pan, nie mogąc wymówić polskiego imienia.

— Narazie nie chcę z tobą dłużej rozmawiać, bo jesteś mokry i zziębnięty. Pan generał i tak cię za długo tu wypytywał — dodał z uśmiechem. — Zaraz dadzą ci coś ciepłego do wypicia i położą do łóżka. A jutro, jak się wyśpisz, to pogadamy. Dziękuję ci tylko bardzo za to, coś zrobił. Boś uratował dziecko mego najlepszego przyjaciela. Jak wy-

poczniesz poznam cię z moim synkiem, który bardzo lubi dzielnych chłopców. Już się o ciebie pytał...

— A jak się miewa tamten chłopczyk? — spytał Zdzich.

— Narazie zupełnie dobrze. Doktór mówi, że może i przeziębienia nie będzie, bo Friljof od urodzenia był hartowany i kąpany w zimnej wodzie. Cały z niego rycerzyk.

— A jak się to stało, że wpadł do wody?

— Chciał zerwać kwiat nenufaru, rosnący na wodzie i wychylił się. Jedna z piastunek zlękła się i też wychyliła. Łódka przeciążona z jednej strony, przewróciła się i wszyscy wpadli, na szczęście nieszkodliwie. No — ale dość, mój synu. Idź za panem porucznikiem, to ci pokaże twój pokój. Jesteś moim gościem.

— Kto to jest ten taki dobry pan? — pyta po drodze Zdzich porucznika.

— Jakto, chłopcze, nie wiesz? — odpowiada oficer. — Ten pan w cywilnem ubraniu, to Jego Królewska Wysokość Książę Olaf — następca tronu Norwegji. A uratowałeś synka chwilowo bawiącego zagranicą ochmistrza dworu, barona Harvagra.

*

* *

No, a potem to były różne cuda-cudeńka. Ten pokoik taki śliczny jak z bajki i jakaś herbata, co miała dziwny smak i zaraz się po niej ciepło zrobiło, i taki pan w pluszowych pluderkach, co wszystko wokoło posprzątał i Zdzicha do łóżeczka położył, choć chłopiec się wzdragał, bo zwykł był już oddawna samemu spać chodzić, jak prawdziwy mężczyzna.

A potem przyszła jeszcze taka młoda, śliczna panienka w białym koronkowym czepeczku na głowie i czarnej jedwabnej sukience. Pewno jakaś księżniczka, pomyślał sobie

w pierwszej chwili Zdzich i wstyd mu się zrobiło, że wobec księżniczki leży w łóżeczku. No, ale jak tu wstać, kiedy ubranko gdzieś zabrali do suszenia.

Tymczasem księżniczka zaczęła sprzątać w pokoju, zabrała tacę po herbacie, aż wreszcie dość łamaną angielszczyzną spytała:

— Co panicz pozwoli na kolację?

Zdzich zdumiał się, ale że był chłopiec rezolutny, więc wyrąbał prosto z mostu:

— Zjadłbym pajdę chleba z masłem i szynki, albo kiełbasy, księżniczko.

A dziewczyna w śmiech.

— Nie jestem księżniczką — powiada — tylko pokojówką. A na kolacje u nas chleba z kiełbasą nie jadają. Jest rozbef po angielsku z jarzynkami, albo łosoś z wody z kartoflami, szarlotka i konfitury.

— Proszę o łososia z konfiturami — powiada wesoło nasz bohater. — Jak po królewsku, to po królewsku.

No i łososia z konfiturami wprawdzie nie dostał, bo łosoś, którego Zdzich po raz pierwszy w życiu zajadał, (choć słyszał, że łososi w polskich rzekach jest wiele) — to danie rybne. Ale zato po łososiu dostał na srebrnej podstawce śliczną kryształową miseczkę z konfiturami. I do tego wspaniałe grzanki; a chociaż z prostej bułki, to jednak bardzo smaczne i chrupiaste. Pokojówka mówiła, że takie grzanki to są bardzo zdrowe.

A potem popił jeszcze świetnej jakiejś lemoniady i ułożył się do snu. Ale ani rusz zasnąć nie mógł, po tylu wrażeniach.

A co go jeszcze czeka? Przecież jest dopiero w początku swej drogi, a choćby go tu na królewskim dworze zatrzy-

mać chciano, to Zdzich nie zostanie. O, nie! Postanowił sobie, że rodziców odszuka, to odszuka. Choćby mu nie wiem jak cierpieć przyszło. Mężczyzną jest, a nie starą babcią, co pod piecem się grzeje. Ot co.

*

*   *

Zdzich siedzi w wielkim, głębokim, skórzanym fotelu, tak wielkim, że mu nawet główki nie widać z nad szerokiego oparcia i opowiada. A następca tronu chodzi po puszystym dywanie królewskiego gabinetu i słucha uważnie. Wreszcie on zkolei mówić zaczyna:

— Będę mówił do ciebie jak do dorosłego mężczyzny, bo cię za takiego uważam. Jeśli wszyscy młodzi Polacy są tak dzielni, jak ty, chłopcze, to jesteście wielkim narodem i potraficie dokonać wielkich rzeczy. Dokazaliście już zresztą waszej wartości podczas wojny i walki o niepodległość. Dokazaliście i po wojnie, odbudowując cal po calu waszą Ojczyznę. To, coście zrobili w Gdyni, nad morzem, to zaprawdę wielkie dzieło. Pilnujcie tylko bacznie tego morza, bo jest ono wolnością i bogactwem narodu. Ot dzięki temu właśnie morzu tyś tu do nas przybył na polskim statku węglowym. Bo morze nie dzieli a łączy narody. Gdyby nie ono, trzebaby z Polski do Norwegji przez trzy, cztery kraje przejeżdżać i o sąsiedzkich stosunkach nie byłoby mowy.

Zapamiętaj to sobie dobrze, mój chłopcze i powiedz, kiedy wrócisz do swej Ojczyzny, że my, Norwegowie, mało znamy Polaków, ale ich już cenimy i szanujemy. Powiedz też, żeby morze swoje kochali i strzegli go, jak my to czynimy. Bo z morza korzyści wielkie dla nich płynąć będą. A teraz przejdźmy do twoich spraw.

Chciałbym ci bardzo pomóc, ale minęły czasy, kiedy to

królowie robili, co chcieli. Właściwie król to taki sam Prezydent, jak ten, co jest w Polsce, tylko że nieobieralny a dziedziczny. Reprezentuje swój naród i pomaga rządzić nim. Ot i wszystko.

Gdyby to tak były dawne czasy, dałbym ci zaraz okręty wojenne i wojsko i popłynęlibyśmy uwalniać twojego ojca. Ale dziś nie można. Zresztą wynikłaby może z tego wielka, krwawa wojna, a o to przecież żadnemu z nas nie chodzi. Więc musimy poszukać innej drogi.

Prosiłbym też o wstawiennictwo naszych posłów i konsulów po tamtej stronie kordonu, ale to się na nic nie zda.

Nie pozostaje więc nic innego, chłopcze, nad to, abyś sam swój bohaterski zamiar doprowadził do końca. Pan Bóg sprzyja dzieciom, szczególnie takim dzielnym i dobrym jak ty. Ocaliłeś w tak młodym wieku już jedno życie ludzkie, to może w nagrodę Pan Bóg zechce ocalić i twoich rodziców.

Ja ze swojej strony wdzięczny ci jestem w imieniu barona Harvaegra. To też pomogę ci w miarę możności. Generał Stjöstrem opracował już rozkazy dla wszystkich naszych placówek na kresach i pograniczu, aby wszędzie, gdzie się ukażesz, dano ci wszelką pomoc. Dostaniesz ubranie zimowe odpowiednie, bo tam mrozy lute, a w twojem niedalekobyś zajechał. Dostaniesz też pieniędzy — tyle, ile będziesz potrzebował...

— Ja dziękuję za pieniądze, niepotrzebne mi... — wtrąca cicho Zdzich.

— Bardzo to ładnie, synu. Ale zawsze trochę ci się przyda. Dużo ze sobą nie bierz, ale i tak każda nasza placówka wypłaci ci zawsze pewną sumę w razie potrzeby.

Teraz, co do podróży, to trzeba działać prędko. Dlatego

już jutro rano oczekiwać cię będzie na tutejszym lotnisku samolot wojskowy. W ciągu kilkunastu godzin dostarczymy cię na pogranicze, w dziki kraj lasów i jezior. Tam pospołu z komendantem naszej placówki obmyślisz sobie dalszy plan wyprawy.

Niech cię Bóg prowadzi, mój synu i stokrotnie wynagrodzi ci twój dobry uczynek!A teraz chodź jeszcze ze mną. Następczyni tronu chce uścisnąć dzielnego chłopca z dalekiej Polski. A i mój syn chce ci życzyć szczęśliwej drogi. Chodź!

Idzie Zdzich za księciem poprzez długą galerję pełną starych obrazów. Niektóre są bardzo ciekawe, przedstawiają jakieś bitwy na lądzie i morzu, i Zdzich chętnieby je zbliska obejrzał, ale przecież nie wypada. Oto i wielkie drzwi, przed któremi stoi dwóch rycerzy w zbroję żelazną zakutych. Aha — to nie rycerze, to tylko same zbroje, tak ustawione na posterunkach. A drzwi otwiera jegomość w pluszowych pluderkach.

Pokój wielki, cały błękitny i jasny. A pośrodku stoi wysoka, śliczna pani, taka ładna jak mamusia, a może ładniejsza, i trzyma za rączkę małego chłopczyka. Chłopczyk wyrywa się z rąk matki i biegnie na spotkanie Zdzicha. Chwila... i wisi mu na szyi i wyciska na policzkach naszego bohatera gorący, wilgotny pocałunek: pocałunek wieczystej przyjaźni.

— Przyszły król mnie pocałował — myśli mimowoli Zdzich i czuje się bardzo wzruszony.

VIII. PONAD GÓRY... PONAD RZEKI.

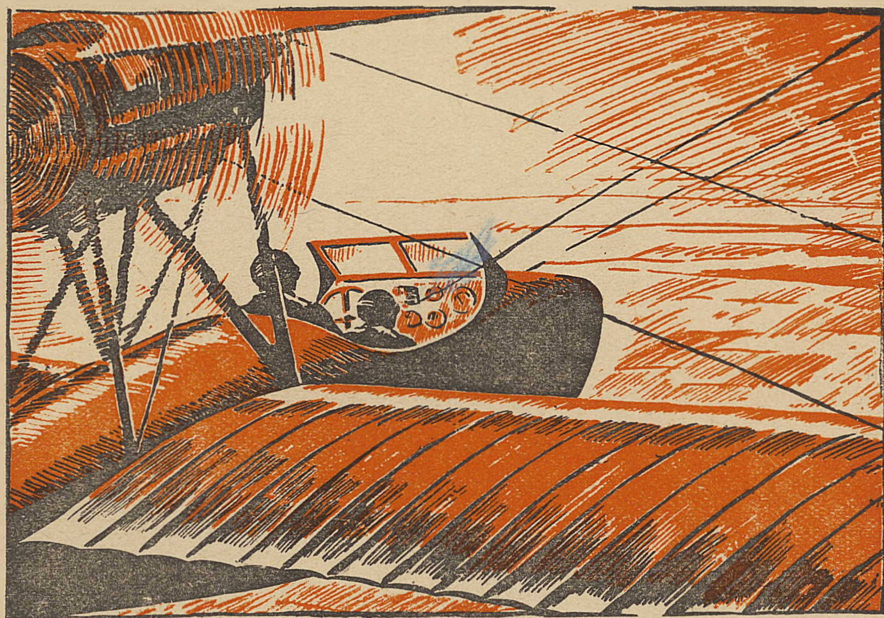
Frrrrrr! Trrrr! Głośno i równo warczy potężny motor samolotu. Siedzący na przedniem siedzeniu porucznik-pilot podnosi rękę, odzianą w wielką futrzaną rękawicę. Żołnierze trzymający skrzydła odskakują w bok. I jak kulawy ptak, co na ziemi czuje się nieswojo, olbrzymia maszyna zrywa się do lotu.

W pierwszej chwili Zdzich nieco trwożnie przymyka oczy. Jak to będzie w tem powietrzu? Przed odlotem sam adjutant następcy tronu odział go troskliwie w ciepłe futro, włosem na wierzch, przywiązał do siedzenia specjalnym pasem, (który trzyma mocno, a który jednak można rozpiąć jednem pociągnięciem palca) sprawdził, czy wszystko jest w porządku i po norwesku życzył szczęśliwej podróży.

Zdzich zmówił króciutki paciorek i jest spokojny. „Dla pewności" jednak ocząt nie otwiera, a czeka. Coś tu strasznie nierówno w tem powietrzu, bo na siedzeniu podskakuje się jak piłka. A trzęsie — niczem furka na wyboistej drodze.

Wreszcie ciekawość przemaga. Zdzich otwiera oczy i spogląda wdół, sądząc, że ujrzy domy, miasta teraz malutkie,jak pudełka zapałek, a ludzi jak pchełki. Gdzie tam!...

Tuż pod sobą widzi Zdzich pokrytą zlekka śniegiem murawę lotniska. Samolot podskakuje na niej z warkotem, wło-



Samolot oderwał się od ziemi.

kąc za sobą obłoczek błękitnego dymu. Więc wciąż jeszcze ziemia!

Trrrr! Ffft! Jeden podskok większy i naraz trzęsienie ustaje. Zato siedzenie, nieco za duże dla Zdzicha, nachyla się gwałtownie raz na prawo, drugi raz na lewo. Chłopiec, mimo pasa, suwa się z końca w koniec.

— Dobrze, że mnie przywiązali — myśli i teraz dopiero widzi, że niesłusznie się temu przywiązywaniu chciał oprzeć. Bo strach co innego, a co innego rozwaga. Widać starsi mają rację, skoro wolą być ostrożni.

Oj, jak rzuca! Zdzich znów przymyka oczy i czuje lekki dreszczyk w nogach. Ale ciekawość znów przemaga. Spogląda wdół i aż dech zapiera mu z zachwytu.

Bo oto chłopiec widzi pod sobą naprawdę całe miasto

z jego domami, tramwajami, kanałami, z portem, w którym okręty wydają się szaremi wrzecionami na granatowem tle wody, z zieloną jeszcze plamą parku królewskiego i szachownicą zlekka przyprószonych śniegiem łąk, pól, wzgórz i lasów.

Samolot leci teraz równo, a pod nogami Zdzicha rozpościera się niby wypukła, kolorowa mapa, całe królestwo Norwegji. Oto miasta, wsie i miasteczka, połączone białemi pasemkami szos i ciemnemi wstęgami kolei żelaznych. Oto rzeki do niebieskich wstążeczek podobne. Oto zielone lasy i żółte lub białe pola, tak zabawnie z góry wyglądające. Oto ciemnogranatowe plamy — górskie jeziora, jeszcze nie zamarznięte. Bo zima tego roku jakaś późna i niezmiernie łaskawa, jakby wiedziała, że Zdzich lecieć będzie.

A on czuje się nagle lekki, radosny i strasznie dumny, że też jemu, małemu chłopcu, danem jest na takie cuda patrzeć, lecąc prawdziwym wojskowym samolotem. Hej!, żeby Lorynka tu była — miałby jej co pokazać! Ale Lorynkiby do wojskowego samolotu chyba nie puścili? Zdzich słyszał kiedyś, jak pan porucznik Jankowski mówił, że wojsko to tylko dla mężczyzn, tak jak są różne inne prace i obowiązki, w których znów kobiety celują.

Dwie godziny trwa ten cudny lot. Miasta i wsie stają się coraz rzadsze, góry coraz dziksze. Po dwóch godzinach w dali ukazuje się, wzięta w ramy wysokich skał, granatowa tafla wody. Nad wodą widać domy i kominy jakiegoś miasta.

— Trondhjem! — krzyczy pilot, żeby przekrzyczeć szum motoru. I z pod okularów lotniczych uśmiecha się przyjaźnie do naszego chłopca.

Niemiłe ukłucie w uszach i samolot nagle zaczyna zjeż-



Porucznik zniża lot.

dżać w dół jak sanki, puszczone całym pędem zgóry. Zdzich już się nie boi, ale mimo to chwyta się obu burt, jak poręczy. Zzzzz-fiiuuu! — gwiżdże w uszach powietrze. Zielona murawa między jakiemiś zabudowaniami zbliża się szybko. Już — już Zdzichowi, który patrzy teraz przed siebie poprzez małą szybkę z miki, zdaje się, że samolot rozbije się w drzazgi, kiedy nagle, szarpnięty wprawną dłonią pilota, wielki ptak mechaniczny zawraca, kładzie się na skrzydła i trach, trach, trrach, zaczyna podskakiwać jak piłka na zmarzłym piasku lotniska. Pięć, sześć podskoków i oto zwykła ziemia, na którą Zdzich niemal — że spogląda ze zdziwieniem. Tak się już do przebywania w powietrzu przyzwyczaił.

*

Rano budzi Zdzicha trąbka. Długo a dźwięcznie gra trę-

bacz melodyjną pobudkę. Jak to przyjemnie spać w koszarach. O ile raźniej wstaje się z taką żołnierską pobudką, niż na zwykłe „wstawaj, Zdzichu!“ — A potem wspaniałe mycie w lodowatej niemal wodzie, aż ciało chłopca sinieje, ale zato życie wielkie wstępuje w kości. Tak robią przecież żołnierze. A żołnierze, to już prawdziwi mężczyźni, najprawdziwsi!

Do izdebki oficerskiej, w której spał Zdzich, ordynans wnosi teraz kubek dymiącej kawy i sporą kromkę, suto okraszonego masłem i marmoladą chleba. Zdzich wcina to wszystko wmig. Poczem wyprostowany też jak żołnierz, staje przed wczorajszym porucznikiem.

W pół godziny później lecą znów, mając po prawej ręce dzikie, porosłe lasem, okryte już śniegiem góry, a po lewej morze, wrzynające się długiemi zatokami wgłąb lądu. Takie zatoki, otoczone wysokiemi, niedostępnemi czasem skałami, do których rzadko kiedy zagląda zimne słońce północy — Zdzich wie już teraz, że nazywają się fiordami. Malownicze są bardzo, usiane skalistemi, porosłemi mchem wysepkami, upiększone srebrnemi wodospadami, które z szalonej wysokości lecą z szumem wprost do morza. Ale smutne są i ponure niezmiernie. Zdzich za nic na świecie nie chciałby tam mieszkać, choć rybacy tych stron to naród bogaty i przemyślny.

Tym razem lot trwa trzy i pół godziny i w południe samolot zaczyna kołować nad małemi, drewnianemi domkami, usianemi w nadmorskiem miasteczku, nad którem unosi się leniwie chmura dymu z kominów. Musi tu już być bardzo zimno, bo mimo futerka i ciepłego ubrania Zdzich czuje, jak kostnieje mu ciało. A i niedarmo chyba ludzie palą tak silnie w tych drewnianych domkach.

Zdzich jednak nadaremnie wypatruje lotniska. Nigdzie równego kawałka pola. Wszędzie jakieś ośnieżone wzgórza, opłotki, chaty, kolej — czarna na białem — z drutami telegraficznemi (jak się później Zdzich dowiedział, najdalej na północ wysunięta linja kolejowa Szwecji i Norwegji), jakieś fabryki — może wędzarnia ryb? Widać też żórawie portowe. Ale porucznik zniża lot, kołuje śmiało i nagle, o dziwo... zamiast na ziemię, opuszcza się na wodę! Zdzich aż zamiera z przerażenia.

Ale nic. Tylko: Ssssiach! wypryskuje ze wszystkich stron lodowata, wzbita piersią kadłuba woda, powstają ztyłu długie, pieniste, rozigrane fale. Trochę rozpędu i samolot podpływa teraz zupełnie jak łódka do nadbrzeżnej przystani, gdzie już czekają marynarze. Ot i strach był niepotrzebny.

* * *

— Czy bardzo jesteś zmęczony? — pyta porucznik. — Bo jeśli nie, to zaraz po obiedzie polecimy kawałek dalej. Dzień teraz jest bardzo krótki, więc trzeba się spieszyć.

— Nie jestem zmęczony — odpowiada dzielnie Zdzich. — Ale nie wiedziałem, że pan porucznik umie też lądować na wodzie.

— Jak na wodzie, to nie lądować, a wodować — uśmiecha się oficer. A zresztą to nie moja zasługa, a naszego poczciwego aparatu. Ma kółka, żeby mógł toczyć się po lądzie, a kadłub tak zbudowany, żeby móc i siadać na wodzie. To się nazywa amfibja, czyli stworzenie ziemnowodne.

Po żołnierskim obiedzie, który Zdzichowi smakował więcej od frykasów cioci Krysi, Zdzich z porucznikiem podpływają znów do uwiązanego w przystani aparatu. Właśnie marynarze z Narvik, bo tak się ten port nazywa, skończyli nalewać benzynę. Frrrr! — warczy znów śruba i po chwili,

tworząc na spokojnej wodzie fiordu długi biały szlak, samolot wzbija się w powietrze. Półtorej godziny później woduje znów przy malutkiej rybackiej mieścinie Talvik, gdzie Zdzich ma okazję pierwszy raz w życiu podziwiać Lapończyków.

— Chodzą odziani w skóry reniferów (takich północnych jeleni), jedzą reniferowe mięso, w lampach palą reniferowy tłuszcz, a nie używają do sani i wozów innych zwierząt jak renifery — mówi porucznik, kładąc się spać w niskiej, z bali zbudowanej chacie posterunku pocztowego. — No, ale jutro rano zdążysz ich obejrzeć jeszcze lepiej, bo póki mechanik sprawdzi motor, pójdziemy się przejść.

Zdzich, rozgrzany dwiema szklankami gorącej herbaty, zasypia smacznie, śniąc o różnych dziwach. Raz zdaje mu się, że ciotka Krysia ma rogi renifera, drugi raz, że Lorynka chodzi cała zaszyta w skórę i smacznie zajada łój, to znów, że on sam, Zdzich, ratując tatusia, pomyka na saniach, ciągnionych w renifery, goniony przez tłum Lapończyków. I ani się spostrzega, kiedy noc mija i czas już wstawać.

Nie miał Zdzich jednak dużo czasu na oglądanie Lapończyków, bo porucznik naglił bardzo. Barometr spadał i lada chwila należało się spodziewać burzy śnieżnej, najstraszliwszego wroga samolotu. To też jak tylko rozwidniło się dostatecznie, zerwali się do lotu.

*

*   *

Lecieli teraz nad zupełną pustynią, zlekka usianą okrytemi śniegem górami. Zimno było Zdzichowi okrutnie, chociaż miał na sobie lotniczą kombinację — takie spodnie zeszyte razem z bluzką, podbite futerkiem i ogrzewane z elektrycznej bateryjki. A tymczasem niebo od wschodu stało się

dziwnie ciemne i złowieszcze, a wicher ze zdwojoną siłą świstał w olinowaniu, tłumiąc niemal warkot motoru.

Po pół godzinie coś poderwało się od ziemi i jakby uderzyło w kadłub samolotu. A ten dał susa ku niebu, ale niebo naraz znikło. Widnokrąg, dotychczas dobrze widziany, zacieśniał się z przerażającą szybkością. Zginęły gdzieś ośnieżone skały, ciemne wstęgi rzek, zielone plamy kosodrzewiny. Jakaś tajemnicza, czarno-szara ściana stanęła wokoło. Samolot znalazł się jak w ciemnym kotle, do którego potężnym miechem wpędzano wicher. Ze ścian tego kotła zaczęło naraz sypać czemś drobnem, kłującem jak szpilki, zimnem, a przenikliwem. Zdzich zgadł, że to śnieg, ale śnieg jakiś straszliwy. Przecież widywał nieraz zamiecie śnieżne i śnieg nie był dlań pierwszyzną. Ale to, co się działo teraz, przechodziło ludzką wyobraźnię.

Ciemno stało się tak, że Zdzich ledwo mógł odróżnić końce skrzydeł samolotu i postać siedzącego przed nim pilota. A jednocześnie warkot motoru stał się słabszy, urywany, jak oddech zdyszanego zwierzęcia. Chwilami jeszcze samolot podrywał pełnią sił i wtedy zdawało się, że maszyna przezwycięży rozszalały żywioł. Ale trwało to krótko. Niebawem piczciwina motor, zaczynał, mimo swej pięćset koni liczącej siły, jąkać się, dławić i wtedy śmiertelny strach chwytał Zdzicha za gardło.

A wtem, coś po kwadransie tego beznadziejnego szamotania powietrznego ze śnieżnym huraganem, kwadransie, który wiekiem się zdawał, Zdzich poczuł, że otworzyła się pod samolotem jakby jakaś wielka dziura i że lecą w tę dziurę on, porucznik, samolot i wszystko, co jest na pokładzie. Przez sekundę uprzytomnił sobie, że kiedyś tak we śnie leciał gdzieś w dół, w przestrzeń i że to było bardzo przykre.

Ale nie miał czasu długo myśleć, bo coś nagle szarpnęło nim gwałtownie, dech zaparło zupełnie i stracił przytomność.

*

* *

Wiuuuu! Wiuuuu! — ponuro świszcze wicher, goniąc przed sobą tumany sypkiego śniegu, pędząc tysiące mroźnych igieł, które mimo futrzanego odzienia przedostają się wszędzie, kłując boleśnie ciało. Wiuuuuu! — wyje, jakby nigdy przestać nie miał zamiaru. I pomyśleć, że tam daleko na południu świeci może słońce, a ludzie spacerują w letnich strojach. Brrrr!

Aż się wierzyć nie chcę, żeby gdzieś tam wogóle było słońce. Nie — jest tylko noc czarna, mróz, śnieg, zawierucha i sterczący ledwo z wydm śnieżnych połamany samolot.

Tak już wyje i sypie drugi dzień od chwili wypadku. A Zdzich z porucznikiem, jako tako ukryci pod kadłubem, co miękko na wydmę opadł i do góry nogami się wywrócił, (tworząc niby daszek), oczekują niecierpliwie, co będzie? Boli ich potłuczone ciało, choć na szczęście nic sobie nie złamali, bolą skostniałe od zimna członki. Niesposób też rozniecić ognia, ani rozejrzeć się po okolicy. Parę kroków za samolotem czyha Biała Śmierć. — Śmierć z zimna.

Żywność zaraz po wypadku porucznik podzielił na części. Mogło tego z biedą starczyć na trzy, cztery dni. Dwie butelki „termos" przechowywały ciepłą herbatę z rumem. Oficer wydzielał sobie i chłopcu niemal po kropelce, starając się jaknajkrócej trzymać butelkę otwartą, żeby nie uciekło przechowywane tam mądrym sposobem w rtęciowych lustrach ciepło. Póki trwała zamieć, nie było co robić. A zamieć mogła ustać zaraz, albo trwać i trzy tygodnie.

— Trochę za późnośmy się wybrali — mówi porucznik. — Trzeba było to przewidzieć i czekać do lata.

— To moja wina — odpowiada Zdzich. — Ale ja tak chciałem jak najprędzej dostać się do tatusia! Możeby do lata i nie wytrzymał w tem więzieniu?

Chłopiec teraz myśli. Myśli, że nietylko ojca nie wyratuje, ale zginie może sam w tej śnieżnej pustyni. A jeszcze przez niego ten dobry Norweg-lotnik, któremu król kazał ze Zdzichem lecieć.

Czas płynie. Różnicy między dniem a nocą już nie widać prawie, bo po pierwsze śnieg wciąż sypie i wielkie czarne chmurzyska wiszą tuż nad ziemią. A po drugie w tych północnych okolicach słońce zimą zachodzi zupełnie i nie ukazuje się aż na wiosnę. Przez cały okres zimowy trwa luta noc, rozjaśniona tylko w południe kilkugodzinnym lekkim brzaskiem niewidocznego, schowanego gdzieś za górami i lasami słońca, za którem Zdzich zaczyna teraz tęsknić nie na żarty.

— Co to jest? — mówi nagle trzeciego dnia porucznik, spoglądając groźnie na Zdzicha. — Były jeszcze dwie porcje konserw wczoraj , a tu widzę trzy?

Zdzich czerwieni się jak wtedy, kiedy ciocia Krysia złapała go na kłamstwie i było mu bardzo wstyd. Tym razem nie jest mu może wstyd, ale nieprzyjemnie, że porucznik spostrzegł.

— Nie byłem wczoraj głodny, więc odłożyłem porcję zpowrotem — mówi chłopiec.

— A dzisiejsza poranna? — pyta dalej groźnie oficer-lotnik. — Odpowiadaj!

Zdzich milczy.

— Odpowiadaj, kiedy każę. Winieneś mi posłuch.

— Oto jest, panie poruczniku. Niech się pan nie gniewa. Odłożyłem ją i też chciałem włożyć zpowrotem do puszki. Ale czekałem jutra, bo bałem się, że pan spostrzeże.

— Dlaczegoś tak zrobił?

— Panie poruczniku, pan ryzykował swoje życie dla tatusia i dla mnie. Moje to mało warte. A zresztą pan musi być silnym, żeby móc nas obydwóch wyratować. A ja nie byłem głodny. Wcale, wcale. I teraz nie jestem... Więc...

Zdzich o tej swojej sytości to niezupełnie mówi prawdę. Głodny jest jak wilk, aż mu kiszki w brzuchu marsza grają. Przecież przez trzy dni zjadł zaledwie trzy czwarte puszki z konserwami, którą na dobrą sprawę mógłby wsunąć na jednem posiedzeniu. Ba, Zdzich wie dobrze teraz, co to jest głód.

— Niech się pan porucznik na mnie nie gniewa — mówi Zdzich dalej. — Ja to jakoś wytrzymam, bom przyzwyczajony (a słaby już biedaczysko taki, że ledwo mówić może), ale panu sił potrzeba. Tylko... jakby co... to niech pan... pamięta o moim tatusiu.

Zamiast odpowiedzi lotnik przyciąga do siebie chłopca i swoje szorstkie wąsy przytula do zmarzniętych policzków dziecka. I trwają tak długo, grzejąc się własnem ciepłem. A nad nimi huragan śnieżny wyje ponuro.

Osłabiony głodem, zimnem i niewygodami, chłopiec osuwa się zemdlony w ramiona lotnika... Ale widać jakiś dobry anioł bierze go zaraz pod swoje opiekuńcze skrzydła, bo Zdzichowi nie jest już ani chłodno, ani głodno, ani straszno — tylko dziwna błogość przechodzi przez obolałe ciało i śni mu się, że jest w wielkim, pięknym ogrodzie, gdzie pod złotemi promieniami słońca rosną piękne palmy, dojrzewają pomarańcze, ananasy i banany. Wystarczy wyciągnąć rękę,

żeby jeść. A po drzewach skaczą zwinne małpki, o których tam kiedyś kucharz na „Krakowie‘ opowiadał. I jedna z nich bierze orzech kokosowy i bęc! nim Zdzicha w łeb. A Zdzich rozgniewany, jak nie skoczy na nią! A małpa w nogi; ucieka, zrywa drugi kokos i bęc! nim znów Zdzicha. Zdzich zły nie na żarty, goni coraz zawzięciej między palmami po zalanem słońcem wybrzeżu, gdzie taki cudny, ciepły piasek morski. A małpka ucieka i rzuca orzechami. Trafia za każdym razem i Zdzicha już nie na żarty boli głowa.

— Uważaj — mówi naraz ktoś usadowiony w koronie palmy. — Jedź wolniej, bo chłopcu całą głowę rozbijesz.

Jakie to dziwne, że tu na południu mówią też po norwesku, który to język Zdzich pół na pół już rozumie.

— A podłóż mu tam coś miękkiego, Niels — odpowiada drugi głos. — I uważaj, żeby nie zleciał.

Małpka, ciskająca orzechami, gdzieś znika, a Zdzichowi złość przemija i chce się trochę śmiać. Gdzie tam miałby zlecieć? A i tak się nie boi. Kto zleciał samolotem z tysiąca metrów i nic mu się nie stało, ten już niczego się nie lęka.

Teraz Zdzich słyszy znajomy sobie głos oficera-lotnika, jakiś przeciągły skrzyp i ujadanie psów. Czyżby tu między palmami były psy? Trzeba zobaczyć. I chłopiec z trudem otwiera oczy.

— Hip, hip, hurra! — rozlega się nagle tuż nad jego głową. — Żyje! Otworzył oczy! Dzielny chłopak. Chciałbym mieć takiego syna!

IX. W KRAJU LUTEGO MROZU.

Już cały tydzień leży Zdzich w niskiej, drewnianej, z wielkich bierwion sosnowych zbitej chacie i „przychodzi do siebie“. Właściwie to już czuje się dobrze i chciałby wyjść — ale mu długi, suchy doktór w okularach nie pozwala. Podobno coś tam sobie odmroził, coś nadwerężył, a i brzuszek po przymusowej głodówce niebardzo w porządku. Więc troszczą się tu o niego bardzo. Gospodyni, gruba Norweżka, w czepku na głowie i w drewnianych chodakach, chodzi koło niego, jakby się naprawdę urodził pod jej dachem, mchem i śniegiem okrytym. Mleko, masło, najsmaczniejsze ryby z rzeki, co tuż pod oknem przepływa (Zdzich wie już, że nazywa się Tana) — wszystko co najlepsze, to dla Zdzicha. Mali Norwegowie, których w chacie jest coś sześcioro, stoją rzędem z palcem w buzi i spoglądają na Zdzicha z zazdrością.

Właścicielem chaty jest imci pan Niels — pocztmistrz w Levojok, — tak się bowiem nazywa ta malutka wioska, przytulona do chroniących ją od północnych wichrów, wysokich gór. Pocztmistrz właśnie ocalił rozbitków. Na jego to bowiem posterunek — ostatnią stację telegrafu w tej dzikiej krainie, przyszedł meldunek o zaginięciu samolotu, którego daremnie wypatrywano na obu lotniskach. Poczciwy

Niels w tejże chwili krzyknął na swego Lapończyka, kazał mu zaprząc reny, wziął żywności na tydzień, flintę, namiot, piecyk naftowy i dwa psy, obdarzone świetnym węchem. Po-czem pomknął na zachód, kierując się węchem psów... i własnym.

Instynkt i przeczucie nie zawiodły. Śnieg właśnie ustał i ze szczytu wzgórz można było w dziennych godzinach widzieć sporą przestrzeń. Dojrzał więc niebawem przez lornetkę jakiś mały pagórek, z którego sterczało coś ciemnego. Był to właśnie rozbity samolot. A za godzinę lotnik ze Zdzichem byli już uratowani.

O, gdyby nie to, byłoby źle. Poprzedniego dnia bowiem porucznik próbował iść w kierunku spodziewanej osady, niosąc zemdlonego Zdzicha na plecach, ale śnieg był za głęboki, zapadało się w nim po pas. Nawet zdrowy, silny człowiek nie uszedłby w ten sposób daleko, a cóż dopiero osłabiony niedawnym upadkiem i wycieńczony głodem. Przezornie też zawrócił lotnik do szczątków samolotu, ułamał z kadłuba trzcinową żerdź, przyczepił do niej kawał zerwanego ze skrzydeł płótna i wystawił ponad śnieg. Ten to sygnał ratunkowy dojrzał właśnie Niels, zdążający na pomoc.

Teraz już jest wszystko dobrze, tylko Zdzich się niecierpliwi. Zpoczątku modlił się dziękczynnie za ocalenie i z ciekawością rozglądał się po chacie. Potem wpadł w zły humor i choć zwykle taki grzeczny, pokazał język pokolei wszystkim sześciu młodym Nielsom. Ale też i trochę za natarczywie mu się przyglądali, zupełnie jak jakiemu zamorskiemu stworzeniu.

Że Zdzich się niecierpliwi, nic dziwnego. Przecież wybrał się tatusia z niewoli oswobodzić, a tu tymczasem w tej malutkiej osadzie norweskiej zimować chyba przyjdzie!



Niels dojrzał rozbity samolot.

O naprawie samolotu niema nawet co marzyć. Król drugiego już chyba nie przyśle — miałby też kłopot, jednym Zdzichem się tylko zajmować! Ale choćby przysłał i tak nic z tego, bo już i nie pora do podróży samolotem. Rzeką też nie można, chociaż Zdzich widział takie śliczne, długie czółna, co zapewne mknęłyby lotem strzały po spienionych falach. Ale rzeka już zamarzła — skuta lodowemi okowami, zastygła do wiosny. Pocztmistrz Niels, aby dostać ryb, musiał rąbać przerębel.

Więc jakże tu siedzieć bezczynnie? Wprawdzie pani Nielsowa dogadza, niczem rodzona matka, a Nielsiątka, choć czasem nieznośne, ciekawe i gapowate, też wkońcu się oswoją, ale przecież taki mężczyzna, jak Zdzich, nie może na pięć czy sześć miesięcy — a tyle trwa zima w tych stronach — siedzieć pod pierzyną w domku pocztmistrza!

Miał już nawet gorącą naradę z lotnikiem. Prosił, bła-

gał, żeby wyruszono dalej. Ale porucznik powiedział, że narazie to mowy niema. Może trochę później, jak się pogoda poprawi i śniegi ustalą, pojadą na renach. Ale teraz, to pewna śmierć w drodze.

Niecierpliwi się więc Zdzich okrutnie. Już i prosi Pana Boga, żeby te śniegi się jak najrychlej ustaliły. A tymczasem bierze się do pisania listu. Listu do Lorynki.

„Kochana Lorynko!

Mogę już do Ciebie pisać, bo jestem tak daleko, że się nawet ciotki Krysi nie boję, choć ją szanuję bardzo i kocham. Wyobraź sobie taki kraj, gdzie słońce pokazuje się tylko na parę godzin, a czasem i wcale, śnieg i lud (tu Zdzich zastanowił się, przekreślił i napisał: lód) jest okropny, a niema koni, ani krów, ani owiec, ale tylko takie jelenie, co je tu nazywają renifery i wielkie, kudłate psy. Te renifery i psy, to ciągną sanie i to strasznie prędko. A ludzie tu zimą nie chodzą inaczej, tylko przyczepiają sobie do nóg takie długie, drewniane łyżwy, co je nazywają „ski" (po polsku: narty) i dopiero suną na tych nartach. Jak z górki, to człowiek leci sam, a jak równo lub pod górę, to ciągnie renifer, albo pies, na pasku czy lejcach. Strasznie zabawnie.

W tym domku, gdzie mieszkam, to jest tylko sześciu chłopaków. Ładni są ale jacyś niemrawi. Dziewczynki niema ani jednej.

Ciekawym, co tam u was w Gdyni słychać? Tu, gdzie jestem, to nazywa się Levojok, prowincja Finmarken, Norwegja. Ale pisać nie możesz, bo zanim list mój dostaniesz i odpiszesz, to i ja będę daleko. Teraz poczta nie chodzi, bo śniegi okropne. A jak się pogoda ustali — powędruję i ja.

Mógłbym ci dużo jeszcze opowiedzieć. Jak byłem na królewskim dworze i jak latałem samolotem. Ale to dopiero

wtedy, kiedy się zobaczymy. A teraz pozdrów ode mnie ciotkę i powiedz jej, że nie uciekłem jak łobuz jaki, tylko poszedłem w świat tatusia szukać. Jak go znajdę, to wrócę. Albo nie wrócę wcale.

Całuję Cię, Lorynko kochana. Twój Zdzich.

A wzięło mi się na pisanie, choć się napociłem nad tym listem bardzo, bo mi za tobą troszeczkę tęskno. Tylko nie mów tego nikomu".

*

Nareszcie. Pogoda się ustaliła. Reny potrząsają rogami, co podobno znaczy, że rwą się do biegu. Na niskie, długie sanie, raczej tratwę przypominające, siadają: porucznik, Niels-pocztmistrz i Zdzich. Huuu - hjuppp!

Dowidzenia, mamo Niels! Dziękuję za wszystko! Dowidzenia, Nielsiątka! Już się pewno nigdy nie zobaczymy, ale zachowałem po was dobre wspomnienie. Dowidzenia!

Przysypany śniegiem drewniany domek rozpływa się wdali. Inne domki lotem strzały przelatują obok. Chrzęści pod racicami renów suchy, zmarzły śnieg. Duże jego grudki śmigają wokoło okutanych wielkim baszłykiem Zdzichowych uszu. Wioooo!

Ani Zdzich mógł przypuszczać, że te, do jeleni podobne, w szpic jedno za drugiem zaprzągnięte zwierzęta, mogą pędzić z szybkością osobowego pociągu. I to prawie bez wytchnienia. Bo, wypadłszy z miasteczka, pognały zaraz w pustynny, śnieżny step i gnały tak bez wytchnienia z wichrem w zawody bitych trzy godziny.

Krótki wypoczynek, herbata ugotowana na wyskrobanym z pod śniegu mchu i kilku gałązkach, skromny posiłek, i dalej w drogę. Niebezpiecznie jest zapóźniać się w tem pustynnem państwie królowej zimy.

Na noc popas na skraju jakiegoś karłowatego lasku. Na-

miot skórami wybity, piecyk pomrukujący jak kot, ciepła zupa, wygodne posłanie ze skór wilczurów. Zdzicha wszystko bardzo ciekawi, ale mroźne powietrze sprawia, że jest jak pijany. Ledwo przyłożył buziak do poduszki, a już śpi jak suseł.

*

* *

Rano ruszają w dalszą drogę. Krajobraz zupełnie inny. Zamiast ośnieżonych pól, wysokie góry, na zboczach których rosną wielkie sosny, całe w śnieżnym futerale. Strząsnąć śnieg z takiej sosny — ojej, co to za zabawa. Ale nie pora na to i raz tylko przy popasie udało się Zdzichowi spróbować. Szkoda, że Lorynki nie było. Miałaby śnieżny prysznic.

Droga jest teraz uciążliwa. Wije się zboczami, to znów długiemi wąwozami. Niels i porucznik z troską spoglądają wtedy ku górze. Lękają się śnieżnych lawin — to jest zsypującego się z góry śniegu. Wystarczy czasem krzyknąć, albo jakimś innym hałasem wywołać wstrząs powietrza, aby olbrzymia masa śnieżna runęła z gór, łamiąc, niszcząc i grzebiąc wszystko na swej drodze.

Ale śnieg teraz przymarzł już mocno, więc i strachu niema. Zresztą Niels z porucznikiem, aby ulżyć renom, nie jadą już na saniach, a biegną obok na nartach, troskliwie badając drogę. Przodem sunie Niels, podpierając się kijkami, a porucznik, trzymając lejce, daje się ciągnąć za saniami.

Zdzich teżby zsiadł i spróbował nart, bo mu się na saniach przykrzy, a i zimno dokucza. Ale w Levojok nie zdążył się nauczyć. Raz pożyczył narty dziecinne od jednego z Nielsiątek (już najmłodsze, co jeszcze trzech latek nie miało, też na nartach jeździło). Póki po równem — szło do-



Nad morzem wznosiły się ośnieżone góry.

brze. Ale jak tylko z górki — Zdzich bęc! Nóżki mu się jakoś zabawnie skrzyżowały, jedna narta na drugą trafiła i chłopiec fiknął kozła. Dobrze jeszcze, że nóżki podniósł wysoko, bo mógłby się nartą skaleczyć, albo co złamać.

Próbował jeszcze kilkakrotnie — zawsze tak samo. Jak tylko puszczał się trochę śmielej — zaraz bęc! i w śnieg. Nie rozumiał, dlaczego Nielsiątka jeżdżą, jakby z nartami na świat przyszły, a on nie może? Chciał się nawet pytać, ale się wstydził. Nie mógł się jakoś upokorzyć i młodszego od siebie prosić o naukę. Więc tylko po dawnemu wykradał się za chatę z nartami. Ale bez skutku.

A teraz mu żal. Chłopiec poniewczasie rozumie, że to żaden wstyd pytać się, jak się czegoś nie wie. Albo uczyć, choćby od młodszego, takiej rzeczy, której się nie zna. I że

nie wszystkiego można się nauczyć samemu. Żeby Zdzich, zamiast marnować czas na nic niewarte, próby poprosił odrazu najstarszego z Nielsiątek o naukę, mógłby teraz śmigać za saniami narówni z porucznikiem.

— Muszę się nauczyć jeździć na nartach porządnie — postanowił zaraz. — I już na pierwszym popasie zacznę.

Pasmo gór, zasłaniające biały od śniegu horyzont, urwało się nagle i zaczęło poza niem połyskiwać coś stalowoszarego. Zdzich zgadł. To było morze. Morze, przed którem góry w pokłonach się kładły, kąpiąc swe ośnieżone podnóża w zimnych falach.

Zmrok zapadł szybko i z dołu błysnęły jakieś światełka. Sanie poczęły spuszczać się ku nim po stromej pochyłości. Niels z porucznikiem hamowali, jak mogli. Aż strach brał, żeby gdzie nie wlecieć w przepaść bezdenną. Ale wkońcu jary i wąwozy się skończyły, spadek „z pieca na łeb“ stał się łagodniejszy i światła pokazały się tuż-tuż.

Zdzichowy zaprząg wjechał do miasteczka rybackiego Niborg, położonego nad zatoką morską Varanger - Fjord. Porucznik, pozostawiwszy Zdzicha w oberży, pobiegł zaraz na pocztę. A Zdzich wpół senny spoglądał na ogorzałe od wiatru i mrozu ponure twarze rybaków, na zaszytych w skórę Lapończyków, na wiszące pod sufitem olbrzymie połacie suszonych ryb, połyskujące w mdłem świetle lampy. Zrobiło mu się nieswojo.

— Mój Boże, co mnie jeszcze czeka? — pomyślał, przypomniawszy sobie dobrego kucharza na „Krakowie“, i szczodrość królewskiego syna, i matczyną opiekę pani Niels. Ale tu, między tymi szorstkimi ludźmi, czuł się jednak obcy, mały jakiś. Nikt nie zwracał na niego uwagi, a chłopcu naraz zachciało się płakać. Nie był beksą, a jednak...

Dopiero powrót Nielsa z porucznikiem przywrócił mu pewność siebie i humor. Oficer dojrzał jednak łezki w oczach Zdzicha i spytał:

— Co ci to, mój mały człowieku?

— To z mrozu i dymu, panie poruczniku — odparł chłopiec.

— Tra-la-la. Byliśmy na większym mrozie i nie płakałeś. Powiedz, co ci jest? Może pomogę?

Za całą odpowiedź Zdzich chwycił szorstką dłoń młodego lotnika i przytulił do niej wargi. A potem przywarł cały do skórzanej kurtki porucznika. Tamten zrozumiał.

— Co, przykro było tu samemu między obcymi ludźmi? — zagadnął. — No, nie bój się, mój synu, nie opuszczę cię. Myśmy teraz już związani, jak wierzch z podszewką. Zresztą i rozkaz królewski przyszedł, abym się tobą dalej opiekował. Bo nie mówiłem ci jeszcze, żem już królowi telegrafował o wypadku i doniósł, jakeś to się dzielnie spisał. Więc się nie martw. A zresztą myślałem, żeś obrotniejszy i dasz sobie i samemu radę...

— Pewno, panie poruczniku — zawołał uradowany i dumny Zdzich. — Aleć zawsze z panem to raźniej.

*

* *

Na drugi dzień, pożegnawszy się z poczciwym Nielsem, śliczną, wijącą się między górami a morzem drogą, pojechali też na renach do jedynego w tych okolicach miasta Vadsö. Nad brzegiem fjordu woda stała skuta lodem, od którego szedł ciemno-stalowy odbłysk. Ale dalej słychać było cichy plusk fal, kruszących lodową powłokę.

— Przy takiem zimnie morze nie zamarza? — zdziwił się Zdzich.

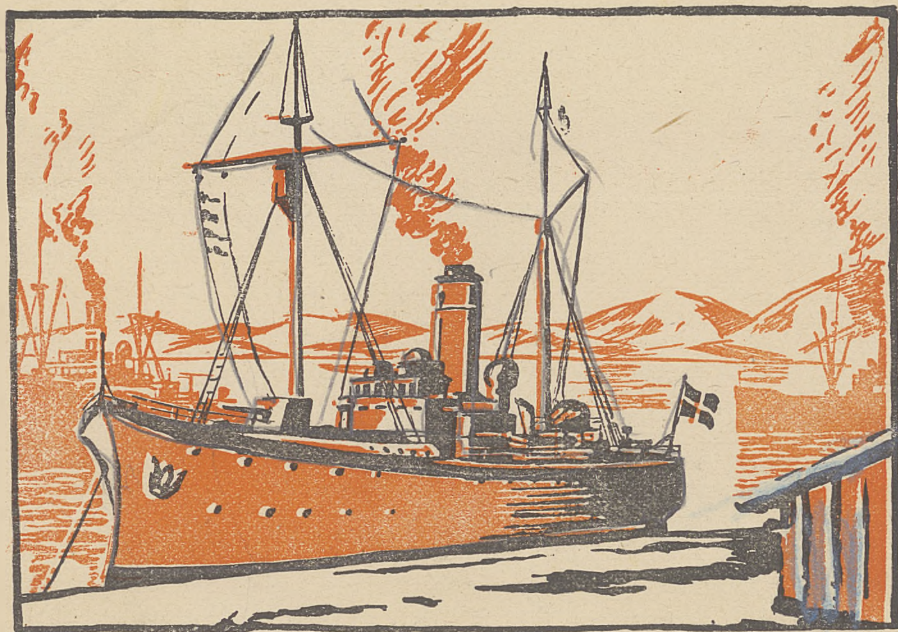
— Naogół zamarza — tłumaczył mu lotnik, — ale tylko przy brzegu. Bo dalej woda tu jest dosyć ciepła. Trudno ci to wszystko wytłumaczyć. Ale jest taki ciepły prąd, który aż hen, z Ameryki, z gorących wód zatoki Meksykańskiej, poprzez ocean Atlantycki, przychodzi aż w te strony. Nazywa się Golfstream (czyta się: Golfsztrom) i dzięki niemu wybrzeże Norwegji posiada miły klimat. Ba, gdyby nie ten ciepły prąd morski, byłoby zimno nie do zniesienia nietylko tu w Norwegji, ale nawet w Anglji i w niektórych częściach Północnej Ameryki. Ten to ciepły prąd sprawia, że morze dalej od brzegów nie zamarza.

— No, a jak statki wchodzą do portu, skoro brzeg zamarza?

— Mądry z ciebie chłopiec i cały już marynarz, skoro stawiasz takie pytania. Widzisz, to jest tak. Są takie okręty — nazywają się lodołamacze. Zbudowane są w ten sposób, aby, gdy trafią na lód, nie zagłębiały się w niego, a wychodziły po nim na wierzch. Już mają takie pochyłe, śliskie dno. Więc, jak taki okręt trafi na ławicę lodową, to zamiast się w nią werżnąć i ugrzęznąć, wyłazi na wierzch, jak wielka foka. A lód pod jego ciężarem załamuję się i rozpływa w wodzie. Idzie więc taki lodołamacz, krusząc pod sobą lód, i wygniata w tym lodzie kanał wolnej wody, którym inne statki przechodzić mogą. Oczywiście muszą się spieszyć, bo woda znów zamarza.

— To i na Białem morzu statki mogą cały rok chodzić?

— Widzę, co cię boli, chłopcze. Chciałbyś jak najprędzej na te wyspy. No, oczywiście i tam lodołamacze pracują. Tylko, że tam już ten ciepły prąd nie dochodzi, więc morze marznie nie na żarty, lód grubieje i łamać go można tylko w pierwszych miesiącach zimy.



Była to królewska kanonierka.

— To, jak my się dostaniemy do tatusia?

— Pomyślimy o tem w Vadsö, mój chłopcze. Już sam się nad tem zastanawiałem, ale, jak dotąd, niewiele mogłem wymyśleć. Trzeba będzie pomówić z rybakami.

Tymczasem reny, biegnąc chyżo, przebyły jakąś górkę, okrążyły zatokę i niebawem ujrzano w drgającem od mrozu powietrzu nawisłe liczne dymy. To dymiło kilkaset domków Vadsö, wraz z kilkoma stojącemi w porcie parowcami, wśród których porucznik rozpoznał królewską kanonierkę „Heimdal".

W dwie godziny później, Zdzich wymyty, wypoczęty i rozgrzany, siedział sobie wygodnie na kanapce w messie oficerskiej „Heimdala". Właśnie przyniesiono obiad i w cia-

snym, ale przytulnym saloniku sześciu oficerów zasiadło do stołu, a między nimi Zdzich, traktowany zupełnie, jakby był dorosłym.

— Można go za dorosłego uważać — powiedział zaraz na wstępie lotnik. — Kiedy utkwiliśmy samolotem w śnieżnej pustyni, zachowywał się, jak prawdziwy mężczyzna, a odstępując mi swą żywność, właściwie ocalił mi życie. Szuka swojego ojca, którego uprowadzili Bolszewicy. Jego Królewska Mość, Książę Następca Tronu, kazali mi się nim opiekować.

— Zdrowie Jego Królewskiej Mości! — rzekł najstarszy rangą oficer, podnosząc szklanicę z winem. I wszyscy wypili za zdrowie króla.

— Zdrowie małego Zdzicha — huknął zaraz potem jeden z młodszych oficerów. — Hurra!

I tak, tego dnia pito zdrowie Zdzicha, wraz ze zdrowiem królewskiem, na pokładzie norweskiej kanonierki „Heimdal".

X. HEIMDAL I FREYA.

„Kochana Lorynko!

Piszę teraz do Ciebie z takiego malutkiego, nad morzem położonego miasteczka. A właściwie z pokładu okrętu królewskiego „Heimdal“, który w tej zatoce właśnie stoi. Jest mi tu teraz strasznie dobrze.

Mieszkam na okręcie i mam sam dla siebie małą kabinkę z okrągłem, mosiężnem okienkiem. W kabince tej mieszka jeden norweski porucznik — śpi on na dolnej koi czyli łóżku, a ja nad nim, na górnej, jak w wagonie sypialnym. Co rano, jeszcze o zmroku, budzi nas trąbka, a zaraz potem łomotanie marynarskich butów po pokładzie. Potem bardzo pięknie śpiewają tu jakąś pieśń, coś tak jak nasze „Kiedy ranne wstają zorze“, a potem krzyczą „hurra“ na cześć króla.

Potem marynarze idą do zajęć służbowych, a my do umywalni. Ciepło jest tam, bo para z maszyn grzeje, ale woda lodowata — bo i mróz tu siarczysty. A potem śniadanie.

Zdziwiłabyś się, Lorynko, jakie tu to śniadanie. Zupełnie, jak u nas obiad. Mięso i jaja, i różne ryby, i jarzynki, i wędlina. A do tego smaczna kawa, albo herbata z mlekiem. Wszyscy strasznie dużo jedzą, bo przy mrozie i na morzu trzeba się dobrze odżywiać.

Po śniadaniu, punktualnie o ósmej, podniesienie bandery. Cała załoga z trębaczami na pokładzie, warta prezentuje broń, trębacze trąbią, oficerowie salutują. I na samym tyle okrętu podnosi się dumnie królewska bandera Norwegji: czerwona z niebiesko-białym krzyżem.

A potem musztra, ćwiczenia, praca dzienna marynarska, bardzo twarda, Lorynko. Ty mieszkasz w Gdyni, nad morzem, to wiesz, jak ciężką jest służba na morzu. Ale ja dopiero teraz dobrze rozumiem, jaka to trudna i niebezpieczna robota. I pomyśleć, że ten Janek, co latem do Gdyni przyjechał, myślał, że być marynarzem, to tylko wygrzewać się na słońcu i pływać po spokojnej wodzie.

W południe obiad. Ale przed obiadem cała ceremonja. Gospodarz messy (bo ja jadam z oficerami w ich messie) mówi: „Panowie. Król!“ Ordynans zaraz napełnia kieliszki winem i wtenczas najstarszy służbą oficer woła: „Zdrowie Króla!“ I wszyscy wychylają kieliszki.

A raz, po królewskiem zdrowiu, pito zaraz moje. Aha! Za pomyślność mojej wyprawy. Widzisz! A Twojego to jeszcze na żadnym okręcie nie pito! Chyba, że ja kiedy poproszę naszego dowódcy, żeby mi pozwolił i wypijemy zdrowie Lorynki tu, na dalekiej północy.

Ty się pewno dziwisz, Lorynko, że ja tak piszę, prawie jak człowiek dorosły. Ale, jak kto idzie w świat, to go życie i podróż uczy więcej, niż największe wkuwanie w domu. Pewno — żeby móc iść w świat, trzeba już sporo umieć, bo nieuk, to i głupstwo zrobi, i sam zginie. Ale jak się już trochę umie, to niema nad podróże, aby wyjść na człowieka, aby, jak to mówi nasz kapitan, stanąć na własnych nogach i nie być potem nikomu ciężarem. A także nauczyć się patrzeć na świat i na ludzi, nauczyć się pracować rzetelnie

i poznać wiele, wiele mądrych i ładnych rzeczy, których, siedząc w domu, nie pozna się nigdy.

Rozmawiamy o tem często przy obiedzie, który jest bardzo smaczny i urozmaicony, ale bez zupy i nazywa się tu „lunch“, czyli drugie śniadanie. Potem odpoczywamy trochę, potem są znów ćwiczenia, a jak tylko słońce zachodzi, spuszczamy banderę i zapalamy światła. Słońca tu oczywiście wcale już nie widać, więc patrzy się na kalendarz, gdzie jest napisane, o której godzinie słońce zajść powinno w stolicy Norwegji. Kiedy jest już ta godzina, to oficer wachtowy gwiżdże, trębacz trąbi, a bandera spływa powoli, i troskliwie zwinięta przez marynarzy, przechowywana jest do rana w szafce.

Potem jest kolacja, która tu nazywa się obiadem. Właściwie to samo, co na obiad, który jest znów drugiem śniadaniem. Tylko, że jest zupa. Jest także zawsze ser, i deser, i czarna kawa, której mnie nie dają, chyba wyjątkowo. I wino, którego pół kieliszka dają mi przy zdrowiu królewskiem, ale już potem nic. Wino jest dobre, ale ja wiem, że jestem jeszcze mały, więc mam czas je pić. Bo dzieci, co zawcześnie piją mocne napoje, to potem nie rosną i zostają karzełkami na całe życie.

Potem na okręcie znów praca, na brak której nikt tu nie narzeka, a o dziewiątej spać.

A nie myśl, Lorynko, że jeśli piszę: praca, to inni robią, a ja patrzę. O nie! Darmozjadem nigdy nie byłem. Więc pełnię pracę chłopca okrętowego. Robię porządki, sprzątam, noszę wodę, zwijam liny w takie mądre węzły (zawsze myślę wtedy o tobie, bo to robota dla zręcznej dziewczynki), czyszczę mosiądze, żeby się błyszczały, noszę meldunki od oficera wachtowego do dowódcy, piorę bieliznę. Pewno



Bielizna suszy się w dziale maszyn.

w tem miejscu uśmiejesz się, Lorynko. A jednak piorę i to wcale zgrabnie. A potem bielizna suszy się w dziale maszyn, bo tam najcieplej. Tylko, że maszyniści są brudasy i zawsze ją czemś poplamią: to oliwą, to naftą, to sadzą.

I to ciekawe. Maszyniści brudasy straszne, a maszyna sama, jak cacko. Był raz przegląd, to dowódca białą rękawiczką pociągnął po korbach i nic. Zupełnie nic — nawet plamka na rękawiczce nie została.

No, ale już kończę ten bardzo długi list. Pisałem go przez dwa wieczory, ale koniecznie napisać musiałem. Bo już jest mi trochę tęskno za Polską i za Tobą.

A teraz dowidzenia! Powiedz Cioci, że zaraz wrócę, jak tylko zrobię to, co zacząłem.

Twój Zdzich".

„Heimdal" podniósł kotwicę któregoś ciemnego ranka i wypłynął na sine z mrozu morze. Płynął tak cały dzień, nie spotkawszy nikogo, prócz igrających na złomach kry fok. Starsze z nich, zadarłszy łeb do góry, przyglądały się ciekawie okrętowi, a młodsze, snać przestraszone, z szumem i pluskiem skakały do wody, połyskując swojem mokrem futerkiem. W wodzie poruszały się zwinnie, jak ryby.

W nocy zarzucono kotwicę opodal małej wysepki. Zimno było strasznie i wiatr wył w olinowaniu, jak potępieniec. Od lądu niosło śniegiem, którego małe pyłki kłuły nieznośnie brodę i policzki, bo resztę głowy Zdzich ukrył w wełnianym, grubym kapturze.

Przyjechali jacyś rybacy szalupą i dowódca długo z nimi rozmawiał. Wreszcie zawołano Zdzicha do rzęsiście oświetlonej messy, gdzie zgromadzeni byli wszyscy oficerowie, z wyjątkiem wachtowego.

— Chłopcze mój — przemówił wtenczas krótko dowódca — musimy się rozstać. Polubiliśmy cię wszyscy i ciężko nam to czynić. Chcielibyśmy ci dopomóc aż do końca. Ale, niestety, istnieją międzynarodowe prawa i granice, których nam, oficerom służby czynnej, przekraczać nie wolno. Groziłoby to już wojną, która jak wiadomo, jest klęską okropną. My, żołnierze i marynarze, nie pragniemy wojny, choć gotowiśmy w każdej chwili przelać krew za króla i ojczyznę. Więc dalej z tobą płynąć nie możemy. Jednakże oddajemy cię opiece tych rybaków, którzy już doprowadzą cię do celu i pomogą. Nieprawda, Harold?

Wysoki, barczysty rybak, z czupryną, jak konopie, wysunął się naprzód i w swe żylaste, pociemniałe od wichrów, zżarte morską wodą dłonie, ujął małą łapkę Zdzicha. Poczem bardzo powoli, z trudem dobierając wyrazy, aby go Zdzich dobrze rozumiał, zaczął:

— Mała chłopiec być moja dobra przyjaciel. My pójść razem i szukać ojciec mała chłopiec. A jak znaleźć, to być szczęśliwa mnóstwo zabardzo.

— Tak jest! — krzyknęli chórem oficerowie. — Za pomyślny skutek wyprawy! Skol! (Na zdrowie).

I duszkiem wypili kielichy.

Zdzich miał w oczach wielkie, jasne łzy, kiedy żegnał się z porucznikiem-lotnikiem i z oficerami. Ale trudno. Trzeba było przecież iść naprzód — do celu. Wyściskany serdecznie przez wszystkich, siadł z rybakami do szalupy.

— Do zobaczenia! Będziemy tu na was czekali. Pomyślnego wiatru! — wołali oficerowie, a załoga, zebrana na pokładzie, żegnała Zdzicha trzykrotnem, głośnem „hurra!“

Z cichym pluskiem płynie teraz szalupa wśród nocy. Okrzyki z „Heimdala“ są coraz słabsze, głuszy je szum fali i świst wichru. I światła kanonierki coraz słabiej migocą na wodzie. Ich złote pasma, przerywane kolebaniem fali, są coraz dalsze. A niewiadomo, co jest tam, w tej ciemnej, zimnej, bezgwiezdnej nocy. Strach!

*

* *

Noc spędził Zdzich na skunerze rybackim „Freya“, będącym własnością owego jasnowłosego Haralda. Ale mimo, że rybak i jego towarzysze chodzili koło chłopca, jak koło najcenniejszego połowu, i z żadną rybą chyba się tak troskliwie, jak z nim nie obchodzili, Zdzich noc całą nie zmrużył

oka. Strasznie mu było trochę i żal. Żal za „Heimdalem", za jego oficerami, za lotnikiem, z którym razem przetrwał ciężkie chwile po rozbiciu samolotu. Na pokładzie „Heimdala" Zdzich czuł się, jak w domu, wiedział, że nic złego mu się tam nie stanie, że stu ludzi, uzbrojonych w cztery armaty i kilkadziesiąt karabinów, bronić go w razie czego będzie. A tu?...

Wprawdzie Harold wciąż troskliwie, choć niezdarnie, chodzi koło swego małego przyjaciela, a i pozostali rybacy — brodaci, włochaci, w futra zaszyci, z dzikiemi, surowemi, choć nie złemi oczami, są dla niego dobrzy..., to jednak nie to samo. A i „Freya" nie umywa się do „Heimdala". Jest to bowiem mały, brudny, cuchnący rybą i naftą żaglowiec, zaopatrzony w słaby motor pomocniczy.

Zamiast wygodnej, oficerskiej kabinki, Zdzich ma teraz znów hamak, futrem wysłany. Ale futro jest brudne i cuchnie okropnie tak, że chłopiec woli je wyrzucić. Dopiero, kiedy nocą chłód kąsać zaczyna, trzeba je z powrotem wciągać, mimo wstrętu. Trudno. A jak jest na wojnie? Do różnych rzeczy człowiek musi się przyzwyczaić i niejedno przecierpieć.

„Freya" nie miała też parowego ogrzewania, jak „Heimdal" i tylko dwa żelazne piecyki, oraz kuchenka, rozpościerały wokoło siebie trochę ciepła. Gdy taki piecyk zagasał, robiło się odrazu strasznie zimno — gorzej, niż na dworze. Rybacy byli do tego przyzwyczajeni, ale Zdzich zpoczątku dzwonił zębami, aż uciekały szczury, których na statku było bardzo dużo i wielkich. Wieczorami Zdzich słyszał, jak przebierały łapkami po pokładzie, biegając mu nad głową.

Tymczasem „Freya", z rozwiniętemi żaglami na swych dwóch krótkich masztach, pykając motorem — „tyk - tyk -

tyk - tyk - tyk" — płynęła sobie powoli na wschód. Rybacy pykali także... z fajek, żuli tytoń, albo zajadali palcami smażone ryby morskie. Na sam widok takiego jedzenia, Zdzicha przechodziły ciarki, choć ryby były w rzeczywistości tłuste i smaczne, a rybacy poczciwi, choć nawpół dzicy ludzie.

Trzeciego dnia, niebo, i tak ciemne, pociemniało jeszcze bardziej. Mgła, która wisiała nad morzem, pierzchła, porwana wichrem na kawałki. Wzrok mógł sięgnąć nieco dalej w morze sine z mrozu, pokryte krą, rozstępującą się z chropowatym szmerem przed dziobem statku. Jakieś wielkie białe ptaki, piszcząc przeraźliwie, unosiły się nad masztami.

— Być sztorm. Wielki sztorm *) — mówił rybak do Zdzicha. — Ale ty się nic nie bać. „Freya" dobra.

W południe czarne chmurzyska zbliżyły się jeszcze i nawisły tak nisko, że zdawało się runą w morze, jeśli nie podtrzymają ich dwa wątłe maszty „Freyi". Wiatr dął coraz silniej. Kołysanie dotąd już przykre, stało się nieznośne. Morze poorane w głębokie doliny i bruzdy wodne, poczęło szturmować wątły stateczek. Raz po raz potężne pieniste fale przelewały się przez pokład, pozostawiając po sobie cienkie skorupki lodu.

Rybacy, odziani w ceratowe kapelusze i takież płaszcze, przeciągnięte powierzch kożuchów, wylegli wszyscy na pokład. Zmniejszono powierzchnię żagli, pozostawiając tylko małe trójkąciki. Sterowano też tak, aby mieć falę od dzioba, co było najbezpieczniejszym sposobem żeglowania. Choć i tak dziób co chwila nurzał się w pianie wściekłych fal. Trzeba było siekierami rąbać lód zbierający się na pokładzie po przejściu fali, bo obciążał coraz bardziej „Freyę".

---

*) Sztormem żeglarze nazywają burzę.

Nadeszła noc, jaka chyba tylko w piekle być może. Szum rozszalałych fal, ryk wichru, stukot padającego lodu, głuche stękanie zmęczonego kadłuba „Freyi“, krzyki ludzkie, brzęk tłukących się wewnątrz statku przedmiotów, jęki pompy, którą usuwano zalewającą statek wodę, nieznośny swąd nafty z motoru, do szpiku kości przejmujące zimno, ciemność straszliwa, czarna jak smoła wokoło. Wszystko to zmęczonego i struchlałego Zdzicha napełniało przerażeniem. Niejeden marynarz w takiej chwili polecałby duszę Bogu, a cóż dopiero małe dziecko!

Ba, ale czy Zdzich był dzieckiem? Czy raczej nie zasługiwał już na tytuł mężczyzny? Czy w tylu przygodach nie zdobył sobie świadectwa męskości, rycerskości nawet? Sądzę, że tak, i tak sądzić pewno będą wszyscy Czytelnicy. A więc...?

A więc prawdziwy mężczyzna nie powinien się bać — powiecie. — Niekoniecznie — odpowiem Wam. Oczywiście, tchórzem być nie powinien. Ale nie być tchórzem, to nie znaczy nie bać się. Ten, kto nie zna strachu, nie odczuwa go nigdy, nie ma żadnej zasługi. Natomiast ten, co czuje strach, a potrafi go zwalczyć, stłumić — ten jest dzielnym i odważnym człowiekiem. Zdzich więc bał się, ale to nie przeszkadzało mu być małym bohaterem. Bo w najgorszych chwilach umiał zawsze stłumić poczucie strachu i zachować spokój.

I jeszcze jedno. Nigdzie tak, jak na morzu, w czasie burzy, człowiek nie pojmuje całej potęgi Stwórcy, panującego nad światem, ludźmi i temi właśnie żywiołami. Kto choć jedną jedyną noc spędzi wśród szumu rozwścieczonego morza i piekielnego wycia wichru, ten modlić się będzie o zmi-

łowanie, razem z innymi. A jeśli ocaleje, to zachowa wdzięczność dla Wszechmocnego Boga.

Dlatego to wśród marynarzy spotyka się tylu dobrych, pobożnych, uczynnych i uczciwych ludzi, dlatego kapitan na okręcie zwie się „Panem po Bogu“, bo na morzu najprzód rozkazuje Bóg, a po nim dopiero jego sługa - człowiek.

Zdzich, pomodliwszy się gorąco, cały, mimo grubego ubrania, skostniały i przewiany wiatrem, — zrozumiał odrazu, że jeśli stać będzie bezczynnie, to sztorm wyda mu się jeszcze straszniejszy, i dostanie morskiej choroby i wogóle źle z nim będzie. Trzeba było nagwałt znaleźć sobie zajęcie, nie być ciężarem dla tych dzielnych ludzi, co tak ciężko z huraganem walczyli.

— Dajcie mi jaką robotę, panie szyper — pisnął w ucho okutanego w płaszcz brodacza.

Ale tamten tylko machnął ręką, jakby chciał powiedzieć:

— Co mi z takiego, jak ty, szczeniaka przyjdzie?

— Dajcie robotę. Ja podołam — upierał się Zdzich.

— Ty wziąć siekierę i oczyścić prawa burta lód. Ale uważać. Przywiązać się mocno linka. Bo fala zmyć za pokład i twoja przepadnie...

Resztę słów, krzyczanych zresztą całą siłą, porwał wiatr i poniósł gdzieś hen, ku biegunowi. Ale Zdzich nie dał sobie polecenia dwa razy powtarzać. Jak kociak potoczył się po rozkołysanym pokładzie, trafił na drzwiczki luku i wpadł do kuchni, gdzie kucharz - lapończyk walczył zaciekle z dziwnym wrogiem.

Zdzichowi było nie do śmiechu, a jednak uśmiał się serdecznie. To tak komicznie wyglądało. Lampa u sufitu bujała się okropnie, rzucając na ściany to światło, to długie, czarne cienie, które ukazywały naprzemian jedne, a kryły



Wielkie fale zalewały pokład.

drugie przedmioty. Przedmioty te wszystkie jakby ożyły i bawiły się wspólnie w jakąś wesołą grę.

Oto właśnie maszynka do mielenia mięsa oderwała się od stołu i spadła na podłogę. Kucharz schylił się, żeby ją podnieść, ale wtedy maszynka powędrowała do pół wysokości prawej ściany. Kucharz pobiegł tam, a maszynka znalazła się naraz w jego hamaku. Miejsce maszynki zajął duży blaszany garnek, który zaczął z rozkoszą młodego psa przewalać się po podłodze, brząkając przeraźliwie.

Kucharz znów schylił się, żeby go ująć, aż tu wałek od ciasta jak nie wyrżnie go w głowę! A tam znów kawa wysypała się z szuflady i jej małe ziarenka wędrują raz po podłodze, raz po ścianie, niczem mrówki. Wyglądało to wszyst-

ko na jakieś magiczne sztuki, a działo się skutkiem kołysania okrętu.

Zdzich wie już, co to kołysanie, ale takiego jeszcze nie przechodził. Na „Krakowie“ czy „Heimdalu“, to były bajki, w porównaniu z dzikiemi harcami małej „Freyi“. Ale chłopiec jest już zahartowany i poczucie niebezpieczeństwa dodaje mu tylko energji.

Raz, czepiając się ściany, raz drzwi, pomógł kucharzowi uporządkować kuchnię i, chwyciwszy siekierę, pobiegł na pokład.

Tu odrazu uderzył weń wicher, jeszcze straszniejszy niż przed chwilą. Poczuł, że nogami brodzi w czemś zimnem i mokrem, ale nie widział w czem, bo panowała zupełna, oślepiająca ciemność. Trzymając ostrożnie siekierę, ruszył poomacku naprzód.

Nagle poczuł z boku jakieś mocne uderzenie. Kolanka ugięły się, siekiera wypadła z ręki, całe ciało zdrętwiało z zimna i strachu. W ustach poczuł smak lodu i soli, i zaraz zaczął się dusić. A jednocześnie coś olbrzymiego i strasznego uniosło go wgórę, wysoko... wysoko...

Daremnie chciał się chwycić poręczy czy linki jakiejś. To coś niosło go wciąż wgórę, wyżej i wyżej. I nawet krzyknąć nie można było...

A wtem gruchnęło znów ciężko, rozległ się plusk potężny i Zdzich począł spadać. Spadał jakoś dziwnie, ukosem. Ale nie mógł nic na to poradzić. Nie przyszło mu nawet do głowy, że może spaść do wody, bo był zupełnie zdrętwiały i ogłuszony. I dopiero ocknął się, kiedy coś ostrego, jak stal przenikliwego, chwyciło go za ramię i pociągnęło mocno w bok. Jęknął z bólu i omdlał.

Kiedy się ocknął, leżał w hamaku, otulony kożuchem.

W ustach czuł strasznie gorzki i palący smak, prawy bok miał zdrętwiały zupełnie. Wokół było pusto i tylko po gwałtownych ruchach hamaka i głuchych uderzeniach fali Zdzich zrozumiał, że sztorm wciąż trwa i że „Freya“ walczy jeszcze z huraganem.

Po pół godzinie zajrzał doń jeden z rybaków, trzymając w ręku grubą, w połowie ciemnobrunatnym płynem napełnioną butlę.

— Ty chcieć łyk wódka? — spytał.

— Dziękuję — odparł Zdzich. — Co się stało?

— Ty być nieostrożna bardzo. Szyper tobie mówić przywiązać się. Ciebie fala zmyć za burta. Koniec! Nie być już Zdzich, tylko rybki mieć jeść. Ale Harold złapać twoja, jak spadać morze. Złapać bosak, bo ręka już nie sięgnąć. Zahaczyć i pociągnąć. To ty spaść na pokład, ale potłuc się mnóstwo za bardzo. Teraz leżeć spokojnie aż ta djabelska sztorm zacichnąć...

— Czy mogę poprosić trochę herbaty albo mleka?

Rybak, mimo grozy położenia, parsknął śmiechem:

— Nikt nie zagotować herbata na taki sztorm. A krowy niema na „Freya“. Ty chcieć pić, to pić wódka. Dobra „brandy“ angielska. Umarłego na nogi stawiać...

— Nie chcę wódki — mówi Zdzich, — a umarłym nie jestem.

I nie bacząc na ból, wyskakuje z hamaku, chwyta leżącą w kącie siekierę i linkę, poczem wybiega na pokład.

XI. WŚRÓD NOCY I LODÓW.

Ktoby to powiedział, że wiosną, kiedy w Polsce wszystko się już zieleni, kiedy słoneczko nie na żarty przygrzewać zaczyna, kiedy bydło wychodzi na pastwisko, a kasztany w ogrodach pokrywają się bujnem listowiem, podówczas w północnej Europie nad Białem Morzem — panuje luta jeszcze zima. Taka zima, że morze jest lodem mocno skute, a na brzegach śniegu i lodu tyle, że nie rozpoznasz, gdzie morze się kończy, a gdzie brzeg zaczyna. I dopiero, idąc dalej w głąb, po wyniosłościach i po jakimś trwożliwie pod śniegiem kurczącym się krzaku kosodrzewiny poznać można, że się jest na lądzie stałym.

Pogody też wówczas bywają najgorsze, bo to niby ku wiośnie idzie i coś się w przyrodzie szykuje. Ale zanim uszykuje na dobre, to przychodzą straszliwe burze śnieżne i wichry, i zawieruchy, a potem odwilż, i lód cały z hukiem i trzaskiem pękać zaczyna. Biada temu śmiałkowi, coby się na lodzie znalazł! Jest zgubiony bezpowrotnie. I nawet ciała zmiażdżonego lodem, a potem zepchniętego w otchłanie morskie, nikt nie znajdzie.

W taki to niby wiosenny dzień, kiedy zawierucha śnieżna szalała nad skutą jeszcze lodem powierzchnią Białego morza, szło wpoprzek zatoki Onega troje ludzi. Wła-

ściwie nie szło, a wlokło się, walcząc ciężko z huraganem, uginając się pod ciężarem śniegu, co bez przerwy zasypywał im oczy i usta, kładł ciężkie naręcza na ramionach, więził nogi w puszystych szańcach. Trzeba było mieć siły nielada, aby w taki dzień wędrować, trzeba było mieć też ważną, arcyważną przyczynę, aby tak nieoględnie patrzeć śmierci w oczy.

Starszy z trzech mężczyzn, olbrzym niemal, z długą siwiejącą brodą, szedł przodem, opierając się na kiju, torując drogę, osłaniając swojemi szerokiemi barami tamtych. Drugi, szczupły, zbiedzony, wyglądał raczej na dziecko, niż na mężczyznę. Pochód zamykał trzeci, o którym nic nie można było powiedzieć, bo twarz miał okutaną baszłykiem, a całą postać tak oblepioną śniegiem, że raczej do bałwana śnieżnego, niż do człowieka był podobny.

Szli tak ciężko, zatrzymując się co chwila dla nabrania oddechu, dla dania chwili wypoczynku strudzonym członkom. Pierwszy, idąc, liczył powoli do stu. Potem zatrzymywał się i liczył do dwudziestu pięciu. Potem znów ruszał w drogę, oglądając się co pewien czas, czy tamci nie pozostają wtyle. Rozdzielić się tu na lodowem pustkowiu, to znaczyło zginąć marnie bez ratunku.

— Ojcze, ja już nie mogę — ledwo dosłyszalnym głosem zaczął się skarżyć drugi w czasie jednego z postojów. — Rzućcie mnie tu na łaskę losu...

— Nie gadaj głupstw — odburknął brodaty mężczyzna. — Boga się nie boisz.

— Ojcze! Ja naprawdę już nie mogę. A przeze mnie zginiecie wszyscy... Lepiej już zostawcie... Ratujcie się sami... Ten śnieg...

— To i dobrze, że śnieg sypie. Inaczejby nas zaraz po

śladach znaleźli. A tak zjedzą djabła. Nawet te ich psy policyjne nic nie zwęszą. Bogu dziękować...

— Ojcze, ja już nie mam sił.. nie mogę... naprawdę nie mogę.

Brodaty mężczyzna zawrócił wówczas wśród zamieci i bez słowa władował sobie na plecy wątłą postać wycieńczonego wędrowca. A potem znów iść zaczął, wprawdzie jeszcze wolniej i uciążliwiej, ale wciąż naprzód, wciąż twarzą ku zachodowi.

— Hm — mruknął zamykający pochód trzeci. — Zdaje się, że choć nas i nie gonią, niedaleko zajdziemy. Było wpół do trzeciej, kiedy wymknęliśmy się z Sołówek, a pewno o czwartej zeszliśmy z wyspy na lód morski. Idąc pod wiatr i odpoczywając często, nie prześliśmy więcej jak dwa kilometry na godzinę... Która teraz może być godzina?... Jeszcze widno... zapewne czwarta, piąta po południu. Od wyspy dzieli nas więc dwanaście godzin marszu. O ile nie kołowaliśmy i zabłądziliśmy, jesteśmy więc dopiero na połowie drogi do lądu. A tam co nas czeka... niewiadomo...?

Przestał naraz mówić do siebie, utknąwszy nosem w plecy przodownika. Starzec dyszał ciężko, a za chwilę osunął się na ziemię, a właściwie mówiąc, na lód. Widać wyczerpał go nadto marsz z ciężarem na plecach.

— Co wam jest ojcze Onufry? — zagadnął troskliwie.

— Nic, synu. Stare grzechy gonią. Ot sił nie starczy... Żeby to człowiek za młodu rozumny był: wódki nie pił, po nocach spał jak należy, żył w poszanowaniu praw boskich, — i sił na starośćby nie zabrakło. A tak to wszystko się mści. W złą godzinę widać z Sołówek uciekliśmy...

— W złą nie w złą, a dłużej już wytrzymać nie można było w kaźni. I do kraju, do swoich człowiek się stęsknił.

Wolę umrzeć, niż dalej tak żyć. A zresztą kiedyż uciekać, jak nie w taki sztorm śnieżny. I straże nie dopatrzą i psy nie wywęszą... No ojcze, co tam — pijcie łyk herbaty — nie zmarzła, bo ją pod kożuchem trzymam, własnem ciałem grzeję. I zakąście kiełbasą. A potem w drogę, bo inaczej zmarznąć nam wszystkim przyjdzie.

Po długiej chwili starzec, postękując, począł się gramolić. Osłabły zaś wędrowiec, widząc, że to jego osoba jest przyczyną zatrzymania w drodze, począł znów prosić, by go na łasce losu zostawiono.

— Nie, dziecino — zaprzeczył starzec. — Chrześcijanie my, nie zbiry pogańskie. Na śniegu cię nie rzucimy. Sumienie nie pozwala. Ale się zmóż i chodź, bo mnie, staremu, dźwigać cię niesporo. Więc wesprzyj się na nas i wędruj, jak możesz.

Ruszyli, zataczając się, jak trójka pijaków. A tymczasem śnieg sypał coraz więcej, wiatr świstał coraz mocniej. O pięć kroków przechodząc, możnaby skroś płaty śnieżne nie dojrzeć tej trójki chochłów, wędrującej ślimaczym krokiem.

Noc zapadła szybko, ale śnieg nie przestał padać, ni wiatr dmuchać. W tej okropnej, mroźnej, czarno-białej otchłani, trójka zbiegów zdawała się być ośrodkiem, ku któremu ze wszech stron czaiła się śmierć.

*

*　　　*

Tymże szlakiem, ale w przeciwnym zupełnie kierunku, dążyły podówczas mocne, niskie sanie, zaprzężone w parę rączych reniferów. Pchane wichrem, sunęły, mimo burzy, szparko. Kierowała niemi wprawna ręka okutanego w futra Lapończyka. Do sań przywiązany był ztyłu rzemienny

pasek, którego trzymał się, sunąc na nartach, rosły, barczysty mężczyzna. Ale rzemień biegł jeszcze parę metrów dalej, aby skończyć się sporym, ośnieżonym, również na nartach sunącym kłębkiem.

Kłębek ten, choć całkiem oblepiony śniegiem, był jednak żywy, bo sunął sprawnie śladami dorosłego mężczyzny, to rozsuwając narty, to je zsuwając, w miarę jak jazda tego wymagała. I tak pędzili w trójkę, jak duchy nocne, ku straszliwym wyspom Sołowieckim.

Było może koło dziesiątej wieczór, kiedy nagle sunący z tyłu kłębek, snać jeszcze niezupełnie dobrze obyty z nartami, a może już trochę przemęczony, wypadł przy skręcie ze śnieżnej kolei i zatoczywszy łuk, przekoziołkował raz i drugi zabawnie, aż wreszcie zgubiwszy rzemień, utknął w jakiejś wydmie.

Sunący przodem mężczyzna spostrzegł wnet, że rzemień zelżał, obejrzał się i wrzasnął na poganiacza: — Sto-o-o-o-p!

Poczem sam puścił się rzemienia i zawrócił, nawołując, bo noc była ciemna, a pędzony wichrem śnieg sprawiał, że na pięć kroków nic widać nie było.

— Mister Żdżycho-o! Mister Żdżycho-o! — nawoływał mężczyzna.

Zdzich, bo to on był właśnie owym kłębkiem, wygrzebał ze śniegu swój zmarznięty nosek, wytarł go pieczołowicie, wciągnął raz i drugi mroźne powietrze (dech mu zaparło od upadku) i rzucił wesoło poprzez poświsty wichru:

— Wszystko w porządku, Harold! Tu jestem!

Głosik jego nie doszedłby zapewne dzielnego rybaka. Ale wiatr wiał właśnie z tej strony i pochwyciwszy Zdzichowe wołanie, doniósł je do uszu Harolda.

Ten pomógł chłopcu wygramolić się i rzekł z uśmiechem:

— Jeszcze mało mister Zdżycho mieć praktyka. Ale i tak dobrze jechać narty bardzo.

Zdzich wspomniał, że gdyby nie własna jego chęć poznania wszystkiego, co obce i nauka z Nielsiątkami w Levojok, nie miałby o nartach zielonego pojęcia i musiałby siedzieć na saniach jak bezduszny bagaż. A tak ma przecież swobodę ruchów i tatusia nawet sam szukać może.

Pognali wnet śladem nart ku czekającym opodal saniom, uwiązali znów rzemień i ruszyli. Ale ledwo przebiegli kilka kroków, reny poczęły dawać żywe oznaki niepokoju: strzygły uszami, boczyły się, wierzgały. Daremnie poganiacz długim prętem okładał im boki. Reny znarowiły się jakoś, nie chciały iść dalej.

— Djabeł! Zły duch pustyni lodowej — mruknął zabobonnie poganiacz i począł trwożnie rozglądać się wokoło.

A Harold położył rękę na kolbie zwisającego u pasa wielkiego automatycznego pistoletu.

W czarno-białej ciemności coś zamajaczyło. Biała plama, tylko nieco ciemniejsza od otoczenia. Reny wierzgnęły raz jeszcze i uspokoiły się...

— Stój! Nie zbliżaj się! Kto idzie? — wrzasnął Harold, wyciągając pistolet.

Doszło ich słabe wołanie, które wiatr porwał zaraz i rozproszył. Widziadło rozpłynęło się w śniegu i ciemnościach.

— Jedźmy dalej — zauważył Harold. — Przywidziało nam się chyba. Nikt nie woła.

— Nie, — zaprzeczył nagle Zdzich — ja słyszałem wołanie.

— To wiatr tylko jęczał. A jeśli nawet ludzie, to lepiej ich unikać. W drogę, bo szkoda czasu.

Poganiacz dotknął prętem reniferów. Ale Zdzich, taki zawsze posłuszny, nie wiedzieć czemu, uparł się:

— Pójdę zobaczyć. A nuż tam ktoś potrzebuje pomocy?

I zanim Harold zdołał się sprzeciwić, chłopiec już szparko sunie na nartach w stronę, gdzie zamajaczyło widziadło.

Chcąc nie chcąc rybak z saniami podąża za nim. Zgubić się w nocy na śnieżnej pustyni, to śmierć pewna.

Ale Zdzich zatrzymuje się wnet, utknąwszy nartami w wystającą ze śniegu, ledwo widoczną wyniosłość. Górka ta wydaje cichy jęk.

— Jezu Chryste! To człowiek!

Harold już jest tuż i razem ze Zdzichem wygrzebuje okrytą grudkami zmarzniętego śniegu postać. Dają mu się napić wódki. Człowiek przytomnieje:

— Tam... na wschód... ćwierć mili... moi towarzysze... Onufry... Szymek... ratunku... ratunku!...

Nieszczęśliwy mówi po rosyjsku, który to język i Zdzich i Harold rozumieją dobrze. Harold pyta:

— Coście za jedni?

— Zbiegowie z Sołówek... Uciekliśmy... wczorajszej nocy... ratunku!...

— No, — mówi Harold — tego uratowaliśmy, ale tamtych szukać niema poco. Po pierwsze szkoda czasu, bo nie znajdziemy. Śnieg ich zasypie... A choćbyśmy i znaleźli, będą już martwi...

Zdzich tego dnia stanowczo jest jednak uparty, bo odpowiada po norwesku:

— Nie, Haroldzie. Nie można. Pan Bóg-by nas ukarał, gdybyśmy zostawili tych nieszczęśliwych na łasce losu. I nie znaleźlibyśmy tatusia...

Harold chce się sprzeciwić, ale Zdzich tym razem mówi jak wódz prawdziwy:

— Słuchaj, Haroldzie! Z rozkazu króla, dowódca „Heimdala“ oddał cię do mego rozporządzenia. Masz słuchać i spełnić, co każę.

I tyle mocy jest w słowach chłopca, że rybak, chociaż z niechęcią, ustępuje. Któryż to z wielkich cesarzy powiedział, że rozkazywać każdy kiep potrafi, ale znaleźć posłuch i szacunek może tylko prawdziwy dowódca...?

Teraz, złożywszy wędrowca na saniach, suną we wskazanym przez odgrzebanego kierunku. Po kilku minutach reny zaczynają znów się niepokoić. To widać gdzieś blisko.

Malutki kurhan na śniegu, który za zbliżeniem okazuje się przytulonemi do siebie dwiema postaciami ludzkiemi. Angielska „brandy“ idzie znów w kurs, a nadto Harold stosuje rozcieranie śniegiem rąk i policzków. Obaj zmarznięci otwierają z trudem oczy, jeszcze nieprzytomne.

— Co my z nimi zrobimy? — biada Harold. — Przecież nie możemy teraz jechać do Sołówek, tak jakby prosto w paszczę lwa. A rzucić ich też nie można.

Odwieziemy ich na brzeg — odpowiada bez chwili namysłu Zdzich.

— A twój ojciec? A nasza ekspedycja?

— Mój ojciec miałby mi z pewnością za złe, gdybym tych ludzi zostawił bez ratunku. Pozostawimy ich dopiero, kiedy będą bezpieczni. Zresztą będziemy mieli od nich wiadomości o tem, co się na Sołówkach dzieje.

Harold nic już nie mówiąc, potakuje. Dziwi go, skąd w takim małym, dziesięcioletnim chłopcu, tyle roztropności, rozwagi i dobroci. Widać zasługiwał w pełni na to, aby sam król otoczył go opieką.

Poganiacz zawraca reny i sanie, tym razem ciężej już obładowane, suną zpowrotem pod wiatr i śnieżycę.

*

* *

Wstaje blady, ledwo widoczny świt i na białem tle śnieżnej pustyni zaczyna kłaść tu i owdzie szare cienie. Sanie suną teraz wolno, bo i reny są już strudzone i trzeba jechać ostrożnie, by znaleźć swobodne przejście z lodowej powłoki morza na ląd stały. Harold zmyślnie kieruje się świecącym kompasem, którym też kierował się w nocy do Sołówek.

Śnieg przestaje padać i Zdzich, przysunąwszy się bliżej sań, spogląda ciekawie na wędrowców. Dwaj leżą jak bez duszy, otuleni derami, ale trzeci, ten właśnie, którego znaleziono, gdy szukał ratunku dla towarzyszy, rusza się już dość raźnie.

Ale oto i brzeg, w tem miejscu dość wyniosły. Teraz ostrożnie, żeby nie napatoczyć się gdzie na bolszewickie straże, które tu na pewno patrolują wzdłuż wybrzeża. Na szczęście zmrok ledwo ustąpił miejsca szarości i śnieg znów pada. Byleby tylko psy nie wywęszyły...

Śmiałym szczęście sprzyja. Po godzinie sanie stają w karłowatym lasku, przed jurtą poganiacza. Jurta — to jest rodzaj namiotu ze skór, okopanego śniegiem, z otworem u góry, którędy dym z ogniska wychodzi. Tuż obok szopa dla renów i stóg paszy, nakryty daszkiem z gałęzi.

Wewnątrz jurty żona poganiacza (zresztą dobrego znajomego Harolda) przyrządza już strawę dla strudzonych wędrowców. Uratowani od zmarznięcia znajdują ciepły przytułek. Suche płaty mchu i gałęzie wesoło trzaskają w ogniu, sypiąc małemi skrami. Oj, dobrze jest, dobrze.



Przed jurtą.

Stary Onufry i młody Szymek (piętnastoletni chłopiec) wnet zasypiają, ale trzeci mężczyzna jakoś nie chce spać. Zdzich, wchodząc do jurty, zastaje go tak, jak go był zostawił: już rozebranego z czapy i zimowej kurty, siedzącego na pniaku z oczami wpatrzonemi w ogień.

— Dzień dobry — mówi Zdzich po rosyjsku. — Jak się pan czuje?

Mężczyzna odwraca się na dźwięk Zdzichowego głosu i już chce odpowiedzieć, kiedy naraz słowa więzną mu w gardle. Jakżesz ten chłopak, zapewne syn jakiegoś Lapończyka, podobny jest do pewnego polskiego dziecka, którego się już tak dawno nie widziało...

Ale i Zdzich patrzy szeroko otwartemi oczyma: Boże

drogi!... przecież to... nie, to cud chyba... to niemożliwe... ten pan... taki podobny... to samo wysokie czoło... i te same jasne, śmiejące się, choć już przygasłe bardzo oczy... i te same włosy czarne, choć już mocno siwizną przyprószone... tylko brody takiej dzikiej nie było... Boże!... to przecież... Głos serca Zdzicha nie myli.

A tamten nagle wyciąga ramiona i szepcze:

— Boże drogi, ciężko mnie doświadczasz, aleć i za to dziękuję. Ginę w tej śnieżnej pustyni i w gorączce mam widzenie. Zdaje mi się, że widzę swego jedynego, ukochanego syna... Dzięki Ci za to, o Boże, bo tak bardzo chciałem go zobaczyć...

Aż tu nasz Zdzich, nasz chłopiec niezłomny, w płacz, ale to w płacz straszliwy:

— Tatusiu, tatusiu!... to ty?... naprawdę ty?... A to ja, twój Zdzich!... prawdziwy Zdzich!... Nareszcie cię odnalazłem... tatusiu kochany!...

I zwinny jak kociak, chłopiec skacze prosto w otwarte ramiona!

*

Minęła godzina a oni jeszcze całują się i ściskają, płacząc i śmiejąc się naprzemian. Pan Krzywicki Zdzicha to przysuwa i na kolanach sadza, to odsuwa dalej, by lepiej mu się przyjrzeć. I napatrzeć się nie może, że to chłopiec, mimo młodych lat, taki zuch całą gębą, nad wiek rozwinięty, a przedewszystkiem taki dzielny i silny, i rozważny, i przedsiębiorczy, i dobry, i uczciwy! Aż się mu wierzyć nie chce, że to jego malutki synek tego wszystkiego dokonał i aż dwa razy dzieje wyprawy całej każe sobie opowiadać. A Harold siedzi obok, popija herbatę z blaszanego kubka i potakuje:

— Tak, tak. Ty mieć dobra chłopak. Jaby chcieć taki syn...

— No, a coby było, gdybyśmy się nie spotkali? — pyta pan Krzywicki.

— Nie wiem, tatusiu drogi — odpowiada Zdzich. — Ale na pewno uradzilibyśmy coś z Haroldem, żeby cię stamtąd wyrwać. I z boską pomocą udałoby się.

— Widzisz, widzisz! — mówi pan Krzywicki. Pan Bóg cię natchnął, moje dziecko i kierował twojemi krokami. Boć przecież tej nocy, gdybyś nie upadł w śnieg, sanie nie zatrzymałyby się i niktby nie usłyszał mego wołania. A to było już wołanie ostatnie...

I ojciec razem z synem klękają, aby w gorącej modlitwie podziękować Stwórcy za ocalenie.

XII. UCIECZKA.

Uciekali teraz co tchu, ciągnieni przez parę przepysznych renów. Ojciec, Onufry i Szymek, jeszcze słabi, leżeli na saniach, okryci derami. Pan Krzywicki, któremu swoboda i odnalezienie syna odrazu wróciły siły, chciał jechać na nartach, ale Harold się nie zgodził. Bał się, że niewprawny narciarz opóźnić może ucieczkę.

Więc z konieczności musiał pan Krzywicki siedzieć na saniach i patrzeć, jak to jego synek sunie zręcznie a szybko za Haroldem. Patrzył i nacieszyć się nie mógł, a duma, że ma takiego syna, aż rozpierała mu serce!

Jedno tylko psuło powszechną radość. Zaraz po poznaniu i powitaniach pan Krzywicki drżącym głosem zapytał Zdzicha o matkę. A Zdzich odwrócił główkę, żeby tatuś nie poznał, jak mu się strasznie zrobiło smutno. Nie wiedział, co ma powiedzieć...

W pierwszej chwili chciał skłamać, że mamusia jest już w domu i czeka... Ale nie, nie skłamie, bo kłamstwo zawsze jest rzeczą brzydką.

Więc Zdzich po bohatersku hamuje łzy i mówi:

— Tatusiu kochany, nie martw się. Powiedziałem sobie, że was oboje odnajdę i do Polski przywiozę... Zacząłem od ciebie, tatusiu, bo to było trudniej... Już połowa zadania me-

go spełniona, dzięki Bogu... Więc skoro nam szczęście sprzyja, wyratujemy i mamusię... Jest nas przecież już dwóch... to i łatwiej będzie.

— Oby cię Bóg wysłuchał, mój synu najdroższy — powiedział pan Krzywicki i zaraz też, nie tracąc czasu, wziął się do przygotowania ucieczki. Odwrót nad morze koleją był teraz niemożliwy, należało więc uciekać do odległej o 300 kilometrów Finlandji.

Ponieważ śnieg przestał padać i nie zacierał już śladów, trzeba było działać bardzo ostrożnie. Więc najprzód sanie, na których złożono Onufrego i Szymka, obrócono tyłem i przeniósłszy je ponad torem północnej kolei, pchano ze dwa kilometry przez las. Ci, co pchali (Harold, poganiacz, Zdzich i tatuś Zdzicha), przywiązali sobie pod obuwiem długie łapcie, jak noszą Lapończycy, ale tyłem do przodu. W ten sposób ślad tak wyglądał, jakby nie od jurty, ale do jurty prowadził.

Potem poganiacz sprowadził reny, które uprzednio w lesie ukrył, zaprzągł je, odjechał parę kroków na lód pobliskiego strumienia, starannie gałęźmi wygładził ślady postoju, — a potem hajda! ile tylko sił!

Pędzili tak dwa dni, mało co popasając, kierując się kompasem i nieomylnym instynktem Lapończyka-poganiacza, który drogę niby pies gończy węchem odgadywał. Aż wreszcie wieczorem zatrzymali się nad jakiemś jeziorkiem.

— Granica fińska blisko — rzekł poganiacz. — Tu już na saniach niebezpiecznie, nawet w nocy. Patrole chodzą, mogą usłyszeć. Zresztą w powietrzu już wiosna i tam dalej na południe może zbraknąć śniegu. Muszę wracać.

Zdzich z żalem pożegnał zziajane renifery. Zwierzęta

ciepłe swe nozdrza wyciągnęły do rąk chłopca. Mądre, wilgotne ich oczy zdawały się mówić:

— Dowieźliśmy cię dotąd bezpiecznie, mały Zdzichu, a teraz zmykaj już o własnych siłach, jak umiesz. Dobry z ciebie chłopiec, więc uda ci się z pewnością: pola, lasy, rzeki, jeziora, zwierzęta... wszystko będzie ci pomagało.

* * *

Ruszyli teraz, pożegnawszy się z Lapończykiem, prosto na zachód, ku granicy. Noc była ciemna i szli zwolna, kierując się według kompasu Harolda, zatrzymując się za najlżejszym szmerem. Harold i Zdzich na nartach torowali drogę. Reszta szła za nimi gęsiego.

— Musi już być blisko — mruknął Harold! — Uwaga!

Ledwo to powiedział, z prawej strony od tyłu rozległo się głośne wołanie:

— Stój! Kto idzie?

— Biegiem! — skomenderował Zdzich, w którym znów obudził się dowódca wyprawy.

Rzucili się naprzód przez gąszcza i krzaki, niebaczni już na hałas. Byle dalej! byle prędzej do granicy! Mokre, ośnieżone gałęzie biły ich po twarzach, szarpały za odzienie. Śliski śnieg szarpał nogami, nie mogącemi uchwycić równowagi. Harold i Zdzich na nartach mogli wprawdzie biec prędzej, ale jak tu zostawić tamtych...

A tymczasem wtyle błysnęło coś raz i drugi i łomotnęło złowrogo. To straż graniczna strzelała z karabinów.

— Prędzej, prędzej! — nagli Zdzich, biegnąc teraz ostatni i bacząc czujnie, czy kto nie został wtyle.

Ledwo to wyrzekł, kiedy znów błysnęło, łomotnęło i powietrze nad głową Zdzicha, przecięte jak biczem, zaświstało długiem tiuuu-tiuuu-tiuuuuu.



Rzucili się naprzód!

— Strzelają już do nas — zaświtało w głowie chłopca. — A więc nas widzą. Trzeba ich zmylić.

I nie mówiąc nic nikomu, zatoczył na nartach duże koło i sunąć począł ukośnie, bliżej ku goniącym ich placówkom.

Wnet też długie bzyknięcia, jakby wielkie bąki latały nad głową Zdzicha, poczęły powtarzać się coraz częściej.

— Jestem w ogniu, jak na wojnie — pomyślał, przypomniawszy sobie opowiadanie porucznika Jankowskiego i norweskich oficerów. — Przechodzę chrzest bojowy i teraz jestem już prawdziwym mężczyzną.

A tymczasem reszta uciekinierów dopadła jeziora. Tu już była granica. Zbiegli na taflę lodową i ślizgając się a przewracając, śpieszyli ku przeciwległemu brzegowi. W chwilę później bolszewiccy strażnicy poczęli też zbiegać na lód.

Zbawczy fiński brzeg był już tuż — tuż. Jeszcze mo-

że pół kilometra. Byle dalej, byle prędzej! Ale i pogoń, sunąca na nartach, zbliżała się coraz więcej. Na szczęście strażnicy zaprzestali teraz ognia, bo na śliskim lodzie musieliby się przytem zatrzymać. Gonili tylko zawzięcie, wołając:

— Stój! stój!

I naraz zbiegowie, kiedy już pewni byli niemal ocalenia, zatrzymali się jak wryci, skamieniali ze zgrozy. Widać dnie były tu już cieplejsze, bo przeciwległy brzeg jeziorka odtajał i między brzegiem, a zbiegami leżała szeroka na jakie półtorasta metrów tafla ciemnej wody.

I tak szczęście, że nie wpadli w głębię, co im się nagle pod nogami otwarła! Sunący bowiem przodem Harold, swym zdrowym instynktem człowieka puszczy, odgadł raczej niż ujrzał niebezpieczeństwo. No, ale czy po to uniknęli utonięcia, aby wpaść w ręce straży?

Trzeba się bronić! Obracają się więc twarzą do goniących. Harold zdejmuje z pleców strzelbę myśliwską i podaje ją panu Krzywickiemu. A sam chwyta za swój pistolet...

I właśnie w chwili, kiedy zamierzają rozpocząć walkę, głos jakiś rozlega się na brzegu, ponad ich głowami. Głos gniewny i stanowczy.

Jednocześnie zaś potok jasnego światła rozbłyska tam i przeskoczywszy przez wodę poczyna muskać lodową taflę jeziora. Aż zatrzymuje się, schwytawszy w swe promienie, niby w białe kleszcze pięciu bolszewickich strażników, stojących niezdarnie pośrodku.

— Hip, hip, hurrah! — woła Harold, widząc, że tamci zatrzymali się bezradnie. — Tu już być fińska strona! Już nam nic nie zrobią! Tu im nie wolno!

Oświetleni potężnym reflektorem bolszewiccy strażnicy

zawracają jak niepyszni. A do stojących nad wodą zbiegów podpływa łódka z dwoma uzbrojonymi ludźmi.

— Coście za jedni? — pyta groźnie stojący na dziobie. Harold w dwóch słowach opowiada, o co chodzi.

— Siadajcie — mówi żołnierz fiński. Ilu was jest?

— Pięciu — mówi Harold, rozglądając się wokoło. I naraz rybak wraz z panem Krzywickim wydają okrzyk przerażenia. Bowiem tylko cztery postacie stoją na lodzie, a wśród nich brak jest naszego Zdzicha!

*

* *

— Nie siądę, zostanę tu — mówi złamanym głosem pan Krzywicki. — Muszę go odnaleźć. Przecież nie możemy go tak zostawić...

— Ja też zostać — dodaje Harold. — Dobra chłopak, ja jego szukać mnóstwo bardzo. A wy wszystkie pomóc.

Poszukiwania trwają do świtu bezskutecznie. Daremnie żołnierze oświetlają reflektorem jezioro, daremnie Harold i Krzywicki hukają, ile sił w piersiach. Zdzich przepadł bez śladu.

Trzeba przewieźć łodzią do położonej nad jeziorem strażnicy Onufrego i Szymka, których znów opuściły siły. Pan Krzywicki z rybakiem zostają.

I znów cały dzień trwają poszukiwania. Żołnierze fińscy przeszukują żerdziami jeziorko, Harold z narażeniem życia przedziera się znów na sowiecką stronę, pana Krzywickiego zupełnie opadłego z sił trzeba zanieść do strażnicy granicznej, gdzie dowodzący oficer prawie gwałtem zmusza go do spożycia posiłku. Kiedy noc zapada, nie ulega już wątpliwości, że Zdzich zginął; albo wpadł w ręce wroga, albo utopił się w jeziorze.

Mimo więc odzyskanej wolności wszyscy są smutni, a ojciec Zdzicha pogrążony w najczarniejszej rozpaczy.

*

* *

— Nie mamy tu co dłużej siedzieć — tłumaczy panu Krzywickiemu ojciec Onufry. — Niech się pan pogodzi z wolą boską. Jechać trzeba...

— Jedźcie, panowie — odpowiada nieszczęsny ojciec. — Ja tu już zostanę. Oficer obiecał mi, że zapyta sowiecki posterunek. Może tylko uwięzili chłopca....

Stary Onufry już nie nalega. Wyjazd naznaczony jest o świcie, bo do najbliższej stacji kolejowej daleko i droga ciężka, śnieg pod wiosennemi promieniami słońca topnieje aż miło.

Noc jest jeszcze ciemna, kiedy trąbka budzi żołnierzy. Rozpoczyna się zwykła krzątanina. Dla zbiegów zaprzęgają dużą parokonną brykę. Z komina strażnicy prychają wesoło iskry — znak, że śniadanie się gotuje.

Pan Krzywicki, który oka w nocy nie zmrużył, modląc się żarliwie o ratunek dla Zdzicha, dopiero teraz zdrzemnął się trochę. Ale sen to ciężki, pełen bolesnych przywidzeń. Biedny ojciec widzi Zdzicha na dnie jeziora, igrającego z rybkami i rusałkami, podczas gdy wielki rak czai się za skałą, by swe kleszcze zatopić w Zdzichowej nodze. A tam znów trzech bolszewików ciągnie Zdzicha po śniegu, okładając nahajkami...

— Stójcie, stójcie! — woła pan Krzywicki. — Puście go! To mój synek najukochańszy, co mi życie ocalił....

— Kto idzie? — wołają strażnicy.

Pan Krzywicki nie odpowiada, bo zamierza siłą odbić Zdzicha. Jakoż wnet zaczyna się nierówna walka. Ale widać

pan Krzywicki, gdy o Zdzicha chodzi, ma siły olbrzyma, bo za chwilę wszyscy trzej strażnicy leżą rozciągnięci na śniegu, a naprzeciw stoi wolny Zdzich i uśmiecha się wesoło do ojca.

— Oto jestem, tatusiu — mówi.

Pan Krzywicki z trudem otwiera zbolałe oczy. Sen czy mara?... W półmroku izby strażniczej stoi przed nim Zdzich! Prawdziwy Zdzich!

— Oto jestem, tatusiu — powtarza. — I zanim pan Krzywicki może opanować myśli i zrozumieć, że to już nie sen a jawa, chłopak jednym susem skacze mu w ramiona. — Tatusiu! tatusiu! — woła. — Jak mi się udało! Zmyliłem pogoń, choć mnie dwóch goniło. Ale potem omal się nie utopiłem. W ostatniej chwili skręciłem, a raczej skoczyłem wbok na nartach. Z tych, co mnie gonili, jeden wpadł z rozpędu do wody, a drugi się zatrzymał...

— Zdzichu, Zdzichu! To ty naprawdę?

— A ktoby miał być, tatusiu. Książę Olaf? Poślemy mu depeszę z podziękowaniem, boć przecież gdyby nie on...

— I co było dalej? — pyta zaciekawiony ojciec.

— A no, pomykałem wzdłuż wody, a tamten za mną, ale już zdaleka. Wreszcie zawróciłem, bom się bał utopić. On zgubił mój ślad na gładkim lodzie, więc narazie byłem spokojny. Ale bałem się wracać wprost, więc cofnąłem się na tamtą stronę. Strachu się najadłem coniemiara, bo tam prawie za każdym krzakiem strażnik — tak pilnują. Ale że byli tym alarmem poruszeni, więc nie myśleli, żeby tam kto mógł dobrowolnie do nich wracać. Tylko, że obchodząc posterunki, zabłądziłem i już nie wiedziałem, gdzie jestem?...

— Biedny mój synu...

— Wcale nie biedny jestem, tatusiu kochany. Uczył mnie

pan porucznik Jankowski na „Wichrze“, jak to się według gwiazd orjentować: gdzie północ, gdzie południe? Ale gwiazd ani na lekarstwo, bo było trochę mgły i chmur na niebie. Więc przypomniałem sobie, że to kora na drzewach ma mech od północnej strony. A mchu to tu przecież nie brak... Więc namacałem po ciemku i hajda...

— Chłopcze drogi i tak sam jeden nocą w lesie nie bałeś się?

— Bałem się może trochę, aleć zawsze nie tak bardzo znowu. Myślałem, że jeśli przyjdzie wilk, to trzeba będzie na drzewo, a jeśli niedźwiedź, to w nogi między krzaki. Raz zląkłem się nie na żarty, bo z ciemności zaświeciło dwoje oczu, niczem latarki elektryczne. Może to był lis, bo coś pisnęło i zaszamotało się. Zaraz wlazłem na drzewo i siedziałem cichutko aż do świtu. Ale znów w dzień bałem się wyjść z lasu, żeby mnie nie złapali. Więc tylko wlazłem wyżej na drzewo, żeby zobaczyć, gdzie jestem. Ujrzałem jezioro i strażnicę, ale musiałem być cierpliwy do wieczora. Dopiero w nocy przekradłem się znów przez placówki i oto jestem. Teraz już jesteśmy wolni, tatusiu, wolni i na wolnej ziemi!... A niedługo będziemy już i w Polsce!

Pan Krzywicki objął Zdzicha i tulił go do siebie.

— Dzięki tobie, chłopcze, dzięki tobie!

XIII. POWROTNA DROGA.

Pół dnia jazdy końmi, aż boki bolą od nierównej drogi i oto mała stacyjka kolejowa. Zdzich sam kupuje bilety, sam znajduje miejsce w wagonie, pomaga nawet ciągle jeszcze słabemu Szymkowi. Spowity w kłębach pary, pociąg biegnie na południe — ku słońcu.

Na jednej ze stacyj węzłowych następuje pożegnanie z Haroldem. Poczciwy rybak musi wracać na północ — do swoich. Łzy mu kapią z oczu, kiedy Zdzicha, jak małego kociaka, podnosi do góry, ocierając swą brodatą, szorstką twarz o policzki chłopca. Ale Zdzich nic sobie z tego nie robi i całuje Harolda aż się rozlega.

— Ty już być cały mężczyzna — mówi Harold. — Ty mógł być rybak w Lapplandji, albo żeglarz!

Największa to pochwała, na jaką go stać.

Na trzeci dzień rano pociąg staje w stolicy Finlandji — w Helsinkach (dawniej Helsingfors). Miasto nieduże, ale czyste i ładnie zabudowane. Nasi znajomi zaraz wędrują do polskiego konsula, bo im pilno wracać do kraju.

— Jaka szkoda — mówi konsul. — Właśnie wczoraj odszedł stąd statek „Śląsk“ — śliczny parowiec „Żeglugi Polskiej“, kursujący między Helsinkami, Gdynią i Rotterda-

mem. A teraz następny „Cieszyn“ — będzie dopiero za dwa tygodnie. Obcemi trzeba się przesiadać po drodze.

— Ale, ale — dodaje po chwili. — Panowie pewno nie macie pieniędzy... Ile wam potrzeba na powrót do kraju?

— Mamy — mówi Zdzich, wyciągając ukryty w spodenkach skórzany portfel. — I to sporo. Ale to pieniądze, które królewicz norweski dał mi na uratowanie tatusia. Teraz, kiedy opłacimy podróż do Polski, już ich nie potrzebuję; więc pan konsul będzie łaskaw odesłać resztę królewiczowi z podziękowaniem, a ja też zaraz siądę i napiszę...

I w prostych, gorących słowach pisze Zdzich do królewskiego syna...

*

* *

Że czekać było długo, więc skorzystali z okazji. Szedł do Polski żaglowiec „Sarmata“, trzymasztowy bark, trochę do „Freyi“ podobny, tylko znacznie większy, a przedewszystkiem czyściej utrzymany. Kapitan, człowiek ludzki i gościnny, choć trochę mruk, zgodził się wziąć zbiegów za koszt samego wyżywienia. Zresztą Zdzich obiecał, że w czasie podróży chętnie każdą pracę pełnić będzie.

Wypłynęli przy pięknej pogodzie, ale zaraz w Zatoce Fińskiej schwytała ich w swe błękitne kleszcze gęsta mgła wiosenna. Do tego wiatr zcichł zupełnie, a ciężko naładowany fińskim granitem bark, szedł pod motorem pomocniczym bardzo powoli. — Jeśli tak będzie — pomyślał Zdzich, — to „Cieszyn“ nas jeszcze przegoni.

Miał chłopiec też inne kłopoty. Przed odejściem „Sarmaty“ kręciło się przy ładowaniu kamienia jakichś kilku obdartusów, którzy wypytywali majtków o różne dotyczące statku rzeczy. Kapitan skrzyczał nawet swoich ludzi, że się



Polski żaglowiec „Sarmata".

z włóczęgami zadają. Zdzich z początku nie zwracał na to uwagi, ale potem stary bosman powiedział mu wręcz:

— Przysłali ich napewno tu na przeszpiegi. Znam tych ptaszków. Powinni dawno siedzieć w więzieniu... Trzeba się mieć na ostrożności.

Dwa dni minęły jednak w zupełnym spokoju. Wśród sinej mgły „Sarmata" płynął okropnie powoli, podczas gdy na dziobie dwaj marynarze dęli na zmianę w rogi mgłowe: Buuuuu, Buuuuuu! — Aż huczało w głowie. Ale trzeba było wszak ostrzec inne statki przed niebezpieczeństwem i samemu mieć się na baczności, bo we mgle raz po raz rozlegały się groźne ryki syren płynących parowców i buczenie rogów statków żaglowych.

Trzeciego dnia mgła pierzchła i powiał zrazu słaby, potem coraz mocniejszy wiatr. Morze sfalowało się, potem ubrało się całe w białe baranki piany, harcujące po grzbietach zwałów. „Sarmata“ począł się kołysać i tu dopiero Zdzich zaimponował Onufremu, Szymkowi, a nawet własnemu ojcu. Bo podczas gdy wszyscy pasażerowie poczęli czuć się nieswojo, jakby im kto kamień młyński położył na głowie, a żołądek uwiązał tuż pod gardłem, niebawem zaś Szymek, nachyliwszy się za burtę, począł zjedzonym rano śniadaniem karmić rybki i mewy, — to Zdzich, ku podziwowi wszystkich, trzymał się dziarsko, ani na chwilę nie przerywał pracy nad zwijaniem lin i nie dawał najmniejszego znaku, że coś sobie z morskiej choroby robi. Nie dziwota. Zdążył się chłopak przyzwyczaić.

Tak płynęli jeszcze trzy dni, częściowo pod żaglami, częściowo pod motorem, aż wreszcie kapitan oświadczył przy obiedzie, że są już na wysokości litewskich brzegów i że nazajutrz pewno zawiną do Gdyni.

*

* *

Zapadłą noc wietrzna i gwiazdzista, która ostatnią nocą Zdzichowej podróży być miała. Podróżni, częścią zmęczeni morską chorobą, częścią upojeni świeżem morskiem powietrzem, leżeli w swych hamakach, myśląc o tem, że to już jutro Polska, ląd, ziemia ojczysta, rodzina, dawno niewidziany swój dom, spotkanie z najbliższymi, za którymi się tak tęskniło...

Tylko Zdzich nie spał, bo wierny przyrzeczeniu, pełnił służbę chłopca okrętowego, a czuwanie wypadło akurat od północy do czwartej rano. Więc, stojąc na dziobie i wraz z jednym z majtków patrząc pilnie w pomrokę, myślał we-

sołо, jak to jutro będzie w Gdyni. Jak to przyjdą z tatusiem do willi ciotki Krysi, jakie to będzie powitanie, jak trzeba będzie wszystko dokładnie opowiedzieć Lorynce — i pewno jednego dnia się nie zdąży, bo ktoby to mógł tak wszystko jednym tchem!... Więc znów będą długie, przytulne wieczory w saloniku, skąpanym w potokach elektrycznego światła, ciotka Krysia będzie robiła jakiś sweterek dla dzieci, kot będzie mruczał, ocierając się o Zdzichowe kolanka, a Lorynka, wpatrzona w Zdzicha, będzie zasłuchana jak w kościele na kazaniu. Wszystko jak dawniej za dobrych czasów, tylko, że — hip — hurra — na honorowym fotelu będzie siedział tatuś i popijał herbatę!!...

Tu naraz smutek ogarnia Zdzicha. Dobrze... A mamusia?... No tak, trzeba będzie parę dni odpocząć, a potem wyruszyć znów na poszukiwania... Lorynka poczeka trochę, zanim się wszystkiego dowie...

— Parowiec, piętnaście stopni z prawa, kontrakursem! — woła nagle stojący obok majtek. I zaraz dodaje żartobliwie:

— Nie śpij, gamońku, uważaj!

Rzeczywiście zprzodu ukazują się na morzu cztery światełka: dwa białe jedno nad drugiem, jedno czerwone i jedno zielone niżej po bokach. Jakiś parowiec zbliża się szybko tak, jakby chciał przeciąć drogę „Sarmacie". Ale niema się czego obawiać. Światła „Sarmaty" palą się jasno, a na morzu jest takie prawo, że parowce, mogące sterować dowoli, muszą ustępować drogi żaglowcom, zależnym przecież od wiatru. Więc i ten parowiec musi wporę zejść z drogi.

Mija kwadrans i tamten okręt jest tuż. Płynie tak, jakby miał przejść wzdłuż lewej burty „Sarmaty". Zdzichowi mimowoli przychodzą do głowy opowiadania starego bosma-

na... O okrętach, których załoga zaniedbała swych obowiązków i śpi, miast czuwać. Albo ze zbrodniczych ludzi złożona, nikomu drogi nie daje... Ale tu niema chyba żadnego niebezpieczeństwa. A zresztą od czego tam na rufie oficer wachtowy i sternik?

Parowiec podpływa bliżej. Słychać wśród głuchej nocy plusk wody rozdzieranej wysokim dziobem i miarowe sapanie maszyn. Okręt jest cały ciemny i tylko płoną na nim światła pozycyjne... Dziwne...

— Uważajcie — mówi Zdzich do majtka, — coś mi się tu wydaje podejrzane... Pospali się, czy co?...

Ale jest za późno. Wysoki dziób, zamiast minąć w przyzwoitej odległości „Sarmatę", zmierza teraz wprost w burtę żaglowca. Już żadna siła ludzka nie zapobiegnie katastrofie. Tamten płynie całą mocą swych potężnych maszyn, a ciężkiego żaglowca nie można dowolnie wykręcić. Daremnie tam z tyłu, oficer ze sternikiem nalegli całem ciałem na szprychy koła sterowego, usiłując skręcić i uratować okręt...

Trrrr!... Trrraaach, trrach!... Jak stalowe, tnące papier nożyce, wdziera się dziób parowca w drewniany kadłub „Sarmaty". Trzask, huk, łomot, plusk spadających do wody odłamków, świst zrywanych żagli, lin i szkotów, grzmot walących się masztów, szum wdzierającego się do okrętu morza....

*

* *

Jasny, słoneczny świt zastaje na rozfalowanem morzu dwie łodzie ratunkowe, płynące zgodnie ku brzegowi. Ale brzeg ten jeszcze daleko, a w łodziach, miotanych falami, jęczą ranni, stękają chorzy. Bo Onufry z Szymkiem, a nawet trochę i pan Krzywicki chorują, nie mogąc znieść pod-



...wdziera się dziób parowca w drewniany kadłub „Sarmaty".

skoków i miotań szalup, to wynoszonych wysoko na grzbiet fali, to spadających głęboko w bruzdy między ścianami wodnemi. A pięciu ludzi z załogi „Sarmaty" zostało ciężko rannych w czasie zderzenia.

Tak. Do brzegu daleko, a przy wiosłach praca ciężka, jakże ciężka! Do tego trzeba wylewać z łodzi wodę, którą fala wierzchem wciąż bezlitośnie narzuca. Zdzich pracuje za dwóch, blaszanym czerpakiem wyrzucając za burtę to, co za chwilę w sześć razy większej objętości znów wlewa się do szalupy.

Jedzenia prawie, że niema, ale zresztą ktoby tam o niem myślał! Zato pragnienie dokucza okropnie, bo przewidujący kapitan podzielił wodę do picia na malutkie porcje i wy-

daje tylko po szklance co dwanaście godzin. Wszak niewiadomo, co być może!

Ducha dodaje rozbitkom stary bosman, ten sam, co nieszczęście przewidział.

— Już nic teraz nie będzie — mówi. — Najgorsze minęło. Ale miałem rację! Tu na Bałtyku różne ludzie pływają. Trafiają się złoczyńczy, i korsarze, i szpiedzy, i kontrabandziści. Ale polscy marynarze nie takie znów ofermy... Nie daliśmy się potopić. Ale szkoda „Sarmaty". Taki śliczny był żaglowiec...

— Zbudujemy sobie inny — wtrąca jeden z majtków, któremu żal widać pogrążonego w głębokim smutku kapitana. Albowiem każdy marynarz kocha swój okręt i jest do niego przywiązany znacznie więcej, niż na lądzie mieszkaniec do swego domu. Bywają kapitanowie, co w razie wypadku raczej wolą zatonąć wraz z okrętem, niż rozstać się z nim na zawsze.

Mijają długie godziny, a brzegu wciąż nie widać. Wioślarze zmieniają się, ale siły słabną. Co będzie, gdy noc zapadnie, a fala nie zcichnie? Gdyby tak jakiś zbawczy okręt...

Ale morze jest puste. Daremnie oficerowie obydwóch szalup przepatrują je swemi lornetkami. Nigdzie nawet dymku czy żagla. Trzeba płynąć dalej o własnych siłach. A tymczasem wiatr wzmaga się. Fala też. Słońce kryje się za chmurami. Rozbitków, siedzących po kostki w wodzie, zaczyna ogarniać chłód...

Jeszcze długa jak wiek cały godzina i fala wciąż większa. Kapitan nie pokazuje po sobie niepokoju, Zdzich też nie, ale obaj są zatroskani. Druga szalupa, mająca snać słabszych wioślarzy, poczyna zostawać w tyle. Wieczór się zbliża. I naraz, w chwili, gdy potężna fala na szczyt swój łódź



...rosnący w oczach olbrzymi dziób rozdzierający wodę.

wyciąga, okrzyk radości wyrywa się z piersi jednego z oficerów.

— Okręt! Tam, na horyzoncie!

Dymu nie widać, ale w miejscu, gdzie niebo zlewa się z morzem, widać dwa cienkie patyczki - maszty. A niebawem nieco niżej ukazuje się ciemna, podłużna kreska-kadłub, zastrzony trzema kominami.

— Rakiety! — woła kapitan w obawie, że okręt może nie dostrzec łodzi!

Trzy kolorowe gwiazdy, wystrzelone z pistoletu, wybuchają jasno na tle sciemniającego się nieba. Chwila nerwowego oczekiwania i naraz nowy okrzyk radości. Tamci snać dostrzegli, bo oto patyczki i kreska poczynają grubieć z przeraźliwą szybkością.

— To „Wicher"! — mówi oficer patrzący przez lornetkę. — Nasz okręt wojenny. On jeden na całym polskim brzegu posiada taką szybkość.

Jakoż nie upływa pięciu minut a grubiejące kreski i patyczki zamieniają się w potężny, sunący z szybkością kurjerskiego pociągu kontrtorpedowiec. Widać teraz rosnący w oczach olbrzymi dziób, rozdzierający wodę w dwie wysokie fontanny. Nad nim groźnie sterczące lufy armat, strzelisty maszt i wysoki mostek dowództwa. Jeszcze pięć minut i zbawczy okręt jest tuż...

ZAKOŃCZENIE.

Zdzich, wszedłszy na pokład „Wichra“, pamiętał mimo osłabienia, co czynić należy. Więc odwróciwszy się twarzą do powiewającej na tylnym maszcie bandery z Białym Orłem, zdejmuję czapkę i chwilę tkwi tak bez ruchu jak żołnierz w postawie „na baczność“. Wiadomo przecież, że przed chorągwią, banderą czy sztandarem, jako przed godłem państwa i relikwią narodową, dobry obywatel powinien zawsze uchylić czoła. To też pan Krzywicki, Onufry i Szymek idą za przykładem Zdzicha.

A potem chłopiec odwraca się, by podziękować, kiedy nagle ktoś woła głośno.

— Ale to przecież mój dobry znajomy — Zdzich!

I pan porucznik Jankowski chwyta chłopca w ramiona, ściskając go tak mocno, że aż woda wycieka ze zmoczonego ubranka. A potem wszyscy oficerowie, z dowódcą „Wichra“ na czele, biegną winszować panu Krzywickiemu szczęśliwego ocalenia i takiego dzielnego syna.

Pan Krzywicki i kapitan „Sarmaty“ dziękują znów gorąco całej załodze „Wichra“ za pomoc.

— Ba — odpowiada komandor, dowodzący „Wichrem“, — gdybyśmy mieli więcej takich okrętów wojennych, Polska byłaby bogata i szczęśliwa, szanowana przez wszystkie na-

rody i niktby się nie ośmielił zaczepiać naszych statków handlowych, które polskie towary woziłyby do najdalszych a nawet najdzikszych stron świata, z czego znów wielki dobrobyt zapanowałby w całym narodzie.

*
*   *

Mój Boże! Stoi Zdzich na pokładzie „Wichra“ i patrzy, napatrzeć się nie może. Niby to dobrze znane półkole wzgórz od Radłowa po Oksywie się na polskiem brzegu ciągnące, niby to ta sama Gdynia, którą ubiegłej jesieni Zdzich opuścił. Ale przecież nie było tylu żórawi i gmachów, tylu nowych domków na zboczach Kamiennej Góry, takich wielkich koszar, składów, magazynów. A i miasto samo jakby urosło...

— Tak, — mówi pan porucznik Jankowski, — dziwisz się pewno chłopcze. I słusznie. Ledwo kilka miesięcy minęło od czasu kiedyś stąd wyjechał, a już wiele się zmieniło. Ot naprzykład zbudowano tę wielką halę na bawełnę. Bo bawełna teraz wprost z Ameryki do Polski na polskich okrętach przybywać będzie i dlatego wszystkie wyroby bawełniane znacznie potanieją. A tam znów, widzisz, podstawiają białe wagony do chłodni. W nich są bekony — przekrajane wzdłuż świnki bez łba, nóg i środka kręgosłupa. Anglicy strasznie taką świninę lubią i podsmażoną jadają do śniadania z jajkami. Więc w Polsce teraz świnki tuczą, potem zabijają i przyrządzają z nich owe połcie, które w specjalnem opakowaniu jadą do chłodni. W chłodni temperatura jest utrzymywana stale niżej zera i taki sztuczny mróz sprawie, że bekony się nie psują, tylko jak przyjdzie okręt — „Lwów“, „Lublin“, „Warszawa“ czy inny parowiec polski, to ładowane są zaraz i wywożone do Anglji. Pół tego wielkiego kraju jada dziś polskie świnki, a za to dużo pieniędzy wpływa do Polski i polski rolnik czy hodowca ma zarobek.

Ale nietylko bekony tak jadą. Masło i jaja też. A niedawno wywieziono wagon cały kuropatw, które w Anglji są przysmakiem lordów, choć w Polsce o nie tak łatwo. Zapłacili Anglicy znacznie więcej, niżbyśmy w kraju osiągnąć mogli.

— A olejarnia jak pracuje, panie poruczniku? — zagadnął zaciekawiony Zdzich.

— Doskonale. Musieliśmy dawniej wszystkie oleje i tłuszcze roślinne z zagranicy sprowadzać i płacić drogo. Dziś sprowadzamy tylko nasiona i sami je wytwarzamy. Nawet olej palmowy robimy w Gdyni. A resztki, t. zw. makuchy, idą na karmienie bydła. Więc zysk jest podwójny.

I łuszczarnia ryżu też rozwija się pomyślnie. A przedewszystkiem zaciekawi cię rybołóstwo dalekomorskie. Mamy już własne statki, zwane trawlerami lub drifterami, które aż hen na morze Północne wychodzą, na połów śledzi. Że zaś na szerokiem morzu łowi, kto chce, więc są już w Polsce polskie śledzie, złowione przez polskich marynarzy na polskich okrętach.

Zdzich wprawdzie wzruszony jest bardzo powrotem, ale wszystkie szczegóły wlot chwyta i zapamiętywa. Bo i co byłby z niego za Polak, gdyby rzeczy, dotyczących morza nie znał i nie rozumiał. Przecież ludzie, co morza nie rozumieją, co się go boją lub unikają, — nigdy do niczego nie dojdą. Bo z morza — jak to jeszcze bardzo dawno uczony ksiądz Staszyc mówił — wszelki dostatek dla narodu, przez morze potęga jego rośnie. I dlatego trzymać się morza powinniśmy mocno, bronić go wszelkiemi siłami, a przedewszystkiem pracować dlań, bo wówczas i ono pracować dla nas będzie.

Ale port coraz bliżej, więc Zdzich z radością wita wielką

szarą sywetkę „Bałtyku“, — okrętu szkolnego marynarki wojennej, na którym młodsi marynarze specjalności swoich się uczą, by zczasem podoficerami zostać. Są tam sternicy-sygnaliści, i maszyniści-palacze, i motorzyści, i elektrotechnicy, i radjotechnicy, i artylerzyści, i sanitarjusze i różne inne morskie zawody. O, właśnie zbiórka jest na pokładzie i w blaskach słońca widać długi szereg biało ubranych marynarzy.

A tu dalej stoi „Burza“, rodzona siostra „Wichra“, zupełnie do niego podobna. Taki sam ścigły kontrtorpedowiec o dwóch strzelistych masztach i trzech kominach, lekko do tyłu pochylonych. A nieco dalej — Zdzich wytrzeszcza oczy — tak, hip, hip, hurra! — to łodzie podwodne „Wilk“, „Ryś“ i „Żbik“, niedawno we Francji zbudowane i do Polski przybyłe.

Właścicie to się tylko tak mówi łodzie, bo są to okręty całą gębą, po 1000 tonn wyporności. I armaty mają, i torpedy i miny. I z tem wszystkiem mogą się zanurzać pod wodę i tam płynąć, choćby na głębokości 80 metrów. A na każdej łodzi jest czterech oficerów i 44 marynarzy.

Buduje się tedy Gdynia i coraz większego nabiera znaczenia. Więc też i flotę wojenną rozbudować trzeba, by Gdyni i wszystkich tych bogactw bronić mogła. A nadewszystko naszej wolności morskiej, to jest swobody pływania okrętów handlowych po dalekich morzach, i szacunku dla bandery Białego Orła, którą to banderę coraz dalej w świecie się widzi.

A oto przy nadbrzeżu pilotowem, tam gdzie domek, mieszczący kapitana portu handlowego, czyli zarząd nim, stoją dwa wielkie czarne okręty. Jeden to znana nam już „Po-

łonia“, drugi to podobny do niej „Kościuszko“. Oba flagę sygnałową już wywiesiły, znak, że tego dnia wychodzą na morze: pierwszy aż hen na morze Czarne do Konstancy, a drugi do Nowego Yorku w Ameryce. Jest i trzeci „Pułaski“ — ten właśnie za kilka dni z Ameryki ma przybyć. Dwa zaś nowe, jeszcze większe okręty pasażerskie, po 20.000 tonn, się budują.

— Niedawno, — odpowiada porucznik Jankowski — przybył tu na parowcu angielskim „Calgaric“ jenerał Baden - Powell — naczelny Skaut świata. Przyjmowali go z zapałem polscy harcerze, co się byli specjalnie w tym celu zjechali. Wielkie Gdynia na naczelnym Skaucie zrobiła wrażenie i nachwalić się jej nie mógł. A przecież Angilk na robocie morskiej znać się musi..

Tu porucznik przerwał, bo właśnie rozległa się trąbka, wzywająca do zakotwiczenia..

*

* *

Co za radość! Co za radość! Ciotka Krysia z Lorynką, uprzedzone telegrafem bez drutu, stoją na wybrzeżu i wymachują chusteczkami. To już Oksywie! „Wicher“ staje w porcie i trąbka daje znak, że manewr skończony. Zdzich, jak wypuszczona z procy strzała, przebiega mostek i rzuca się ciotce na szyję.

— A co? przywiozłem tatusia, przywiozłem! — woła w uniesieniu.

— A ze mną to się nie przywitasz? — mówi wkońcu cichutko Lorynka.

Teraz dopiero Zdzich spostrzega, że dziewczynka przez te kilka miesięcy wyrosła i wyładniała, i wygląda raczej na sporą panienkę, niż na dziecko. No i że trzyma w ręku jakiś papier.

— Co to za papier? — pyta, przyzwyczajony do porządku chłopiec (podczas, gdy tatuś wita się ze siostrą). — Czy dla mnie?

— I dla ciebie i dla wuja — mówi Lorynka, skacząc z radości.

Zdzich rozwija papier, który okazuje się depeszą. I naraz, z wielkiego wzruszenia, aż łzy napływają mu do oczu.

— Tatusiu! Tatusiu! — woła. — Są wieści od mamy! Żyje, zdrowa, na Krymie! Tam daleko nad Czarnem morzem! Ale wydostaniemy ją stamtąd... I to prędko.... Zaraz jutro puszczam się w drogę!... Tatusiu kochany...

— Nie jutro — mówi ciotka, — ale za parę tygodni. Matce twojej nic tam teraz nie grozi. Pojedziesz, jak wypoczniecie oboje.

— I jak mi wszystko opowiesz, Zdzichu — mówi Lorynka.

— Co to, to nie — odpowiada uradowany bohater. — Najpierw obowiązek, a potem ciekawość czy przyjemność, Lorciu. Duża już z ciebie panna, więc powinnaś to zrozumieć.

— Mówisz do mnie: Lorciu, znów jak do papugi.

— Papuga, to bardzo mądry i doświadczony ptak. A jak mam mówić? Może jak do żyrafy, bo wyrosłaś taka duża?

— Chciałabym być żyrafą, co ma taką długą szyję,

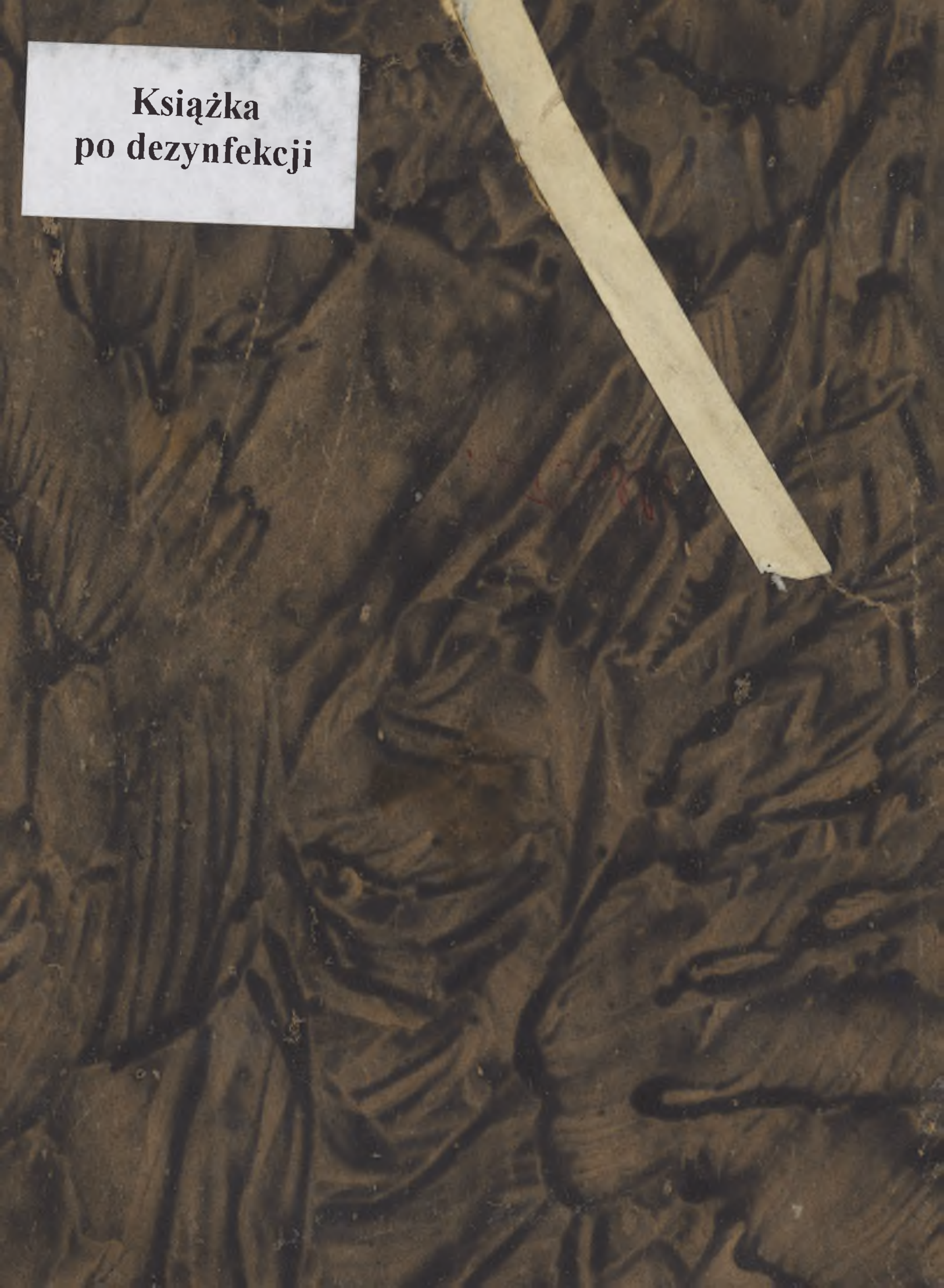
bo czułabym dłużej przyjemność przy jedzeniu czekolady — odgryzła się Lorynka.

I niebawem pogodzeni, ucałowawszy się mocno a serdecznie, wędrują razem do domu.





TREŚĆ:


Książka
po dezynfekcji